Stron 12

Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 6 lutego 1949 r. Nr 6 (185)

W NUMERZE

między innymi:

M. Grad — Przedwiośnie radykalizmu
J. Pogan — Klasową drogą
J. M. Gisges — Wiersze
J. Lewański — Ręka Boga Ojca
W. Jedlicki — Ani filozofia, ani medycyna
J. A. Król — Ale rodowód jasny...
J. Bieniek — Przyszłość gosodarcza ziem górskich
M. Błachut — O kalendarzach polskich
M. Koliba — Czy chodzi o realizm?
J. Ulicha — Bo Matejko to przecież...
P. Chmura, J. Cios, M. Rękas — Polemiki

Sinclair Lewis

Tłum. w. r. k.

KAZANIE DOKTORA SNOODA



Sinclair Lewis

Postanowił posłuchać niezwykłego doktora Snooda, przekonać się, czy rzeczywiście jest on takim krasomówcą i tak niebezpiecznym jak powiadają, pojechać z Westel na zapadłe przedmieście grzesznego miasta. Bo chociaż Sofie pociągała go bardzo, jednak nie przychodziło mu nawet do głowy, że jego przywiązanie do żony mogłoby z tego powodu ucierpieć — zjawisko psychologiczne, które we wszystkich czasach doprowadzało do wściekłości kobiety odbijające prawnym żonom ich mężów. Zabawne, że kiedy zaproponował wyprawę do tego zapadłego kąta, Westel zaprotestowała:

— Zadziwiasz mnie, Neill, słowo daję! Także wymyśliłeś — iść słuchać takiego nikczemnego ku-klux-klanistę, jak ten murzynożerca Snood!

— Naturalnie, ja nie zgadzam się wcale z jego ideami. Ja bardzo szanuję Murzynów — rzekł łagodnie Neill.

— Tak? Od kiedy to?

Co z nią się stanie, jeżeli zaraz powiem jej całą prawdę? Czy zniesie to? Ej, Kingsblood, nie wariuj!

Tego wieczora wczesnej jesieni gościła u nich kuzynka Neill'a Patrycja — zdemobilizowany oficer floty — więc wzięli ją ze sobą, chociaż Patrycja oświadczyła, że nie jest zwolenniczką ujadań małych kundli.

„Przybytek proroctw pańskich" wyglądał równie ubogo, jak stajnia, w której urodził się Zbawiciel, reklamował się jednak o wiele energiczniej.

Była to szopa mogąca pomieścić od ośmiuset do dziewięciuset ludzi, sklecona ze starych desek, tak źle zamalowanych, że na świat patrzyły wszystkie dziury od gwoździ.

Przeszedłszy przez zarośnięty chwastami i zionący smrodami zwał, gdzie walały się niezdatne już do niczego opony i napół zgniłe stare trzewiki, stawaliście u wejścia do świątyni i mogliście przeczytać wołowymi literami wypisane ogłoszenie: „Prawda o spisku międzynarodowym odkryta Słowem Bożym przez doktora Snooda".

Wewnątrz nieotynkowane ściany pokryte były pstrą wysypką plakatów. W oddalonym końcu szopy wisiało coś w rodzaju wykresu, z którego wynikało, że Napoleon, Tom Paine i wszyscy Rockefellerowie i Wanderbildowie przebywają w piekle. Nadzieja, że tym najradośniejszym widokiem będą mogli bezpłatnie zabawiać się po wiek wieków, pocieszała biedaków, piekarzy, rzeźników i robotników, zapełniających „dom modlitwy". Publiczność ta wnosiła tu błogą i rodzinną atmosferę: wszędzie dokoła siedzieli odświętnie ubrani robotnicy, ojcowie i matki z dziećmi, ssącymi długie cukierki. Była to sól ziemi, którą ręka dyktatora przemienić mogła w saletrę.



Amerykańska demokracja: czarny nie może kalać miednicy białego. (Z książki S. Wallace'a „One Nation")

Patrycja była wzburzona.

— Dobrzy, zwykli ludzie! I dajcie wiarę, oni z całej duszy byliby radzi dobrotliwemu sądowi linch'u, który rozerwałby monotonię ich egzystencji. Jako wielbicielka Abrahama Lincolna kocham ich, ale... gdybym była Żydem, Włochem lub Murzynem, panicznie bałabym się tej kompanii miłośników starego testamentu, którym przewodzą Snoodowie.

Neill wspomniał: przecie Pat jest w takim samym stopniu pokrewieństwa z Ksawe Pik'iem co i on. Wycieńczone, blade twarze, otaczające ich, ukazywały mu się w złowieszczym blasku pochodni, jak w owym strasznym śnie, który miał niedawno.

W oczekiwaniu na nabożeństwo ludzie przechadzali się w głębi świątyni, rozprawiali o tym i owym — schodząc ciągle do tego, że w czasach ostatnich zbrzydło życie od ciągłych deszczów i machinacji Watykanu. Dzieci uganiały się za psami, a psy za żukami. Missis Snood, zwiędła, zahukana niewiasta, stała za improwizowaną ladą z deski do prasowania i sprzedawała numery pisma „Dźwięk Fanfar" z widokami Jerozolimy i portretem pułkownika Charlesa Lindberga.

Starostowie kościelni, ludzie poważni, przypominający mularzy w solidnych, granatowych kostiumach, jakby wyciętych z kamienia, z uprzejmą miną ugniatali jak wapno całą tę masę ludzką zaganiając ją

FASZYZM I DROBNOMIESZCZAŃSTWO

Przed paru dniami prasa opublikowała deklarację Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR w sprawie paktu północno-atlantyckiego. Deklaracja ta oświetla istotne motywy „Unii Zachodniej" Koła kierownicze państw anglo-saskich ostrze paktu wymierzaja przeciwko Związkowi Radzieckiemu, wmawiając własnej opinii, że zawierane sojusze wojskowe mają charakter obronny przed ewentualną agresją ze strony Związku Radzieckiego. Imperialiści anglo - amerykańscy wzmacniając potencjał wojenny i rozbudowując swoje bazy na terenie Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej pragną zadławić i ruchy narodowo wyzwoleńcze krajów kolonialnych, i walkę proletariatu o wyzwolenie społeczne i narodowe w krajach zachodniej Europy, przez podporządkowanie ich sobie gospodarcze i polityczne.

„Utworzenie unii zachodniej oznacza, że rządy W Brytanii, Francji i innych krajów uczestniczących w tym sojuszu zdecydowanie zerwały z tą polityką, którą prowadziły państwa demokratyczne, jakie wchodziły w skład antyhitlerowskiej koalicji w okresie drugiej wojny światowej".

Cele unii zachodniej „w sposób jak najściślejszy związane są z planami narzucenia światu panowania anglo - amerykańskiego pod egidą USA".

„Wojska amerykańskie przebywają obecnie w Europie i w Azji nie tylko na terytoriach b krajów nieprzyjacielskich. Przebywają one nadal na terytorium szeregu państw, należących do Narodów Zjednoczonych. W ciągu ostatnich kilku lat koła rządzące USA uzurpowały sobie prawo posyłania swych wojsk na terytoria innych państw, jak np. Grecji i Chin pod pretekstem, iż jest to rzekomo konieczne dla bezpieczeństwa USA".

„Pewne koła USA usiłują wykorzystać w charakterze narzędzia realizacji swych agresywnych planów — Niemcy Zachodnie i Japonię i uczynić je współuczestnikami przygotowanej agresji"

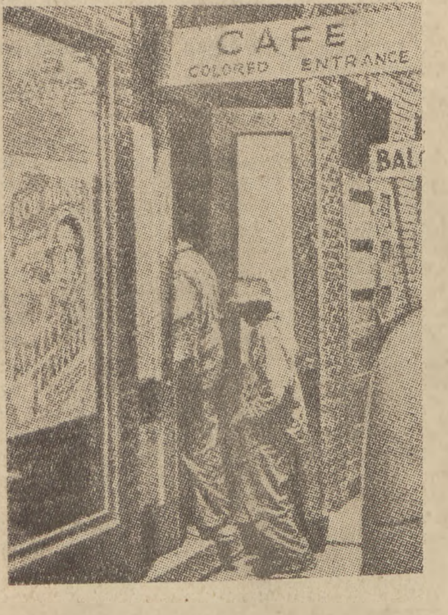
„Pragnąc usprawiedliwić tę niepohamowaną politykę agresywną, koła rządzące USA i W Brytanii wszelkimi sposobami sieją strach i niepewność w społeczeństwach Europy i Ameryki, sztucznie przedstawiając niebywały wzrost sił demokratycznych i ruchu narodowo - wyzwoleńczego po wojnie jako „niebezpieczną jakąś agresję".

Pakt północno-atlantycki jest najdalej posuniętą formą agresywnych dążeń kół rządzących USA i W. Brytanii. Droga do tego etapu była nie krótka. Wiodła nieuchronnie już od schyłku w XIX, kiedy światowy kapitalizm począł wstępować w fazę imperialną.

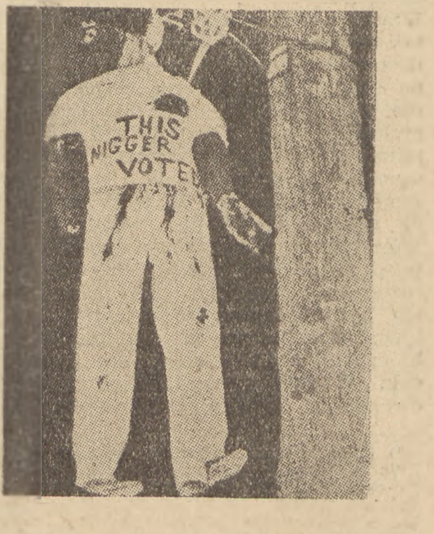
Znaki na tej drodze śledzić można było od wewnątrz na stosunkach społecznych i narodowościowych w USA. Można było je również oglądać oczami pisarzy amerykańskich, piętnujących te groźne zapowiedzi, ostrzegających i walczących.

Zamieszczamy fragment powieści Sinclair Lewis'a (Kingsblood) pt. **„Kazanie doktora Snooda"**, ukazujący Amerykę przedwojenną, ale w tym najbardziej drażliwym i jak się to wydawało wówczas, nie wytłumaczalnym objawie Ku-Klux-Klanu. Doktór Snood jest „kapłanem - mistykiem" nadbudowanym nad „miasteczkowym businessmanem". Mistycyzm jego wymierzony jest przeciw żydo - komunie, przeciw kolorowym i „przeklętym agentom Moskwy". Doktór Snood mąci w głowach robotników i drobnomieszczan. Zaciera klasowe konflikty wewnątrz społeczeństwa amerykańskiego aby wywołać lęk wobec wymyślonych konfliktów rasowych, „ażebyśmy się wszyscy nie znaleźli pod czarną piętą tych wyrodków" Ten lęk przed panowaniem Murzynów to była zamaskowana postać agresji nacjonalistycznej, agresji kapitalistycznej na ludy kolonialne i na narody „białych", tam w szczególności, skąd szedł powiew wolności społecznej i narodowej. Tacy doktorzy Snood biblią i przepowiedniami szermujący w tych celach, kazali się swoim owieczkom modlić o to, aby zostali senatorami USA. Nie zostają nimi pewnie i dziś. To byłby za wielki skok dla drobnomieszczaństwa właśnie w USA. Ale ten **drobnomieszczański faszyzm ciemnoty i barbarzyństwa kulturalnego** trafia dziś już **bezpośrednio** do ucha senatorów z kół rządowych USA. Tylko na nim mogą się oni oprzeć, jego technikę i barbarzyństwo upowszechnić. Plugawe kazania doktorów Snood wychodzą dzisiaj z ust tych, co mienią się nie tylko „mężami stanu USA, ale świata".

M. K.



Amerykańska demokracja: dla czarnych osobne wejścia. (Zdjęcie z książki Stegnera Wallace'a „One Nation" Houghton Miffin Company, Boston, 1945)



Murzynom wolno głosować: oto skutki. (Z książki S. Wallace'a „One Nation")

na chwiejące się składane krzesła i na drewnianą estradę. Orkiestra zagrała „Hallo, centralna, dajcie niebo!" i przeszła na opętane: „Słuchajcie, śpiewają aniołowie, zwiastuni boży" i w tym momencie współczesny przedstawiciel aniołów-zwiastunów, niezrównany doktór Snood wskoczył na estradę, upadł na kolana i skłoniwszy głowę, ale nie na tyle, żeby nie można było objąć okiem przybyłych, na cały swój grzmiący głos począł czytać modlitwę, upewniając Najwyższego, że jeżeli ten będzie słuchać go, Snooda, to usłyszy, jak on swoim rozumem rozwiąże wiele zawiłych i tajemnych zagadek.

Potem Snood zerwał się — dość bystro, jak gdyby nie przejęła go bardzo tak wstrząsająca sprawa, jak rozmowa z Bogiem — i podbiegł ku katedrze, na której stała karafka z wodą, leżała biblia i pęczek nieśmiertelników.

Przed przystąpieniem do głoszenia objawień, głównego celu dzisiejszego zebrania (jeśli nie liczyć zbierania datków), zmusił zebranych do odśpiewania trzech hymnów i dyrygując tak wymachiwał rękami, jak gdyby straszył wrony. Potem zaczął łajać swe duszyczki za to, że brzęcząca moneta (jego zwykłe wyrażenie) skąpo wpływa w kościelną skarbonę.

Snood czynił wrażenie nie kapłana - mistyka, nie niebezpiecznego demagoga, nie zwyczajnego szalbiercy, lecz pyszałkowatego, miasteczkowego businessmana, całkiem rozgarniętego w kwestiach wystaw sklepowych i dostatecznie ostro postępującego ze swoimi dłużnikami. Człowiek ten dla swych wyznawców mógł odegrać rolę dynamitu, a przecież był on tylko krótkonogim, kwadratowym i kudłatym człowiekiem jak kramarz, w swych ośmiokanciastych okularach bez oprawy — ostatni krzyk techniki.

Coś tam bębnił — był nieukiem i tępakiem. Ale ratowały go dwa wielkie walory: niezwykły głos, na którym grał, jak na ustnej harmonijce i jeszcze bardziej niezwykły brak zasad. Obojętne mu było kogo linczować, byleby jemu, Snoodowi zapewniono sześć tysięcy dolarów na rok. Naturalnie, niezbyt chętnie chełpił się tym, że dosięgnął wysokiej pozycji, wobec tego, że w fabryce drutu kolczastego, gdzie niegdyś pracował, otrzymywał dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy dolary na tydzień i większość towarzyszy śmiała się z niego, zapewniając, że nigdy nie dobije się lepszego.

Często po zamkniętych zebraniach kółek religijnych mówił żartując:

— My z matką nie jesteśmy łasi na kawior i szampana, ale napewno zamieszkamy w Atlantic-City i zanim umrzemy zwiedzimy Ziemię Świętą zatrzymując się tam w najlepszych hotelach.

Porównywano go często z Abrahamem Lincolnem i Hein Longiem, jako — być może — przyszłego wodza Ludu Prostaczków. Jat był jeszcze młody — urodził się w początkach dziewięćdziesiątych lat — i prawdopodobnie pokaże jeszcze, co wart, tym sceptykom — dziennikarzom, którzy nie uznają go i naśmiewają się z niego.

Snood zaczął kazanie z zaciętością człowieka przyjmującego chłodny prysznic.

— Nie kazanie przyszedłem tu dzisiaj głosić! Nie, po prostu chcę się wam użalić. Zaczyna mi mocno dokuczać i Pana Boga też bardzo mierzić to, że banda Żydów-komunistów, która rządzi nami w Waszyngtonie, oddaje nasze zarobki i powierza wychowanie naszego drogiego potomstwa przeklętym agentom Rzymu i Moskwy!

Dalej następowały komentarze do wydarzeń. W zasadzie czynił je zupełnie tak samo, jak człowiek wysoce kulturalny, major Rodney Oldwick. Wyjaśnił słuchaczom, że istnieje międzynarodowy układ Żydów-bankierów, angielskich arystokratów w rodzaju sir Cripps'a, sowieckich intrygantów, mahometańskich duchownych, agitatorów — Hindusów, katolików i amerykańskich leaderów robotniczych, („mówię to nie o zwyczajnych członkach związków zawodowych, bracia moi, bowiem i my z wami do nich należymy. Mam na względzie wielkich szubrawców — sprzedajnych leaderów").

Potem opowiadał, że Anglicy są potomkami zagubionych w pustyni plemion Izraela i że przy pomocy obliczenia rozmiarów Wielkiej Piramidy można przepowiedzieć prawie wszystko — z wyjątkiem tylko tego, czy będzie jutro deszcz i zepsuje nam wycieczkę. Chyba tego staruszka piramida nie może dla nich uczynić, choć on, Snood, słyszał o niej zadziwiające rzeczy.

Ogromnie przydatnym w gadaniu jest posługiwanie się Objaśnieniami i księgą Ezechiela — ustępy trzydziesty ósmy i trzydziesty dziewiąty. Wspomniana w biblii ziemia „Ros" — to niewątpliwie Rosja, a „Mosoch" — Moskwa. Chrypiał dalej:

Starcy zasiadający w senacie Stanów, skręcają się, robią szum, złoszczą się i pocą, (choć tylko pod pachami, bo głowy im nie potnieją, bo nie pracują). I z jakiego powodu dzieje się ten cały kram? Stare kozły próbują dociec, co właściwie wiąże Rosję z wujem Samem. Tak, gdyby senatorzy nasi przyszli do mnie i spytali: „Doktorze, co będzie?" — wiecie, co bym im odpowiedział? „Dziatki — rzekłbym — oto otworzę księgę świętą a dowiecie się dokładnie co będzie".

Ale czy sądzicie, że ludzie okażą się na tyle rozumni, że wybiorą mnie na senatora? Gdzieżby tam! Chociaż stąd niedaleko, w okręgu Tamarak, żyje na fermie jedna znana staruszka, dobra chrześcijanka, która regularnie datkami wspiera Boską sprawę — błogosław jej Panie! — pisze mi ona, że każdej nocy na kolanach modli się, żeby wybrali mnie do senatu i żebym pojechał do Waszyngtonu, a wówczas Bóg przeze mnie potrafi wglądnąć w rządy kraju.

Napisałem jej jednak w odpowiedzi: „Nie, siostro moja, sądzę, że praca moja jest potrzebniejsza i milsza Bogu tu, w drogim Grand - Republic, gdzie jest tylu szarlatanów, angnostyków i demagogów. I jeśli tylko niewdzięczni chrześcijanie, których serca i kieszenie zawarte są na głucho, zechcą czasami przyjść tu z ofiarą inną i milszą Panu, niż żałosna dziesiątka czy ćwierciówka, to przegnamy i diabła i Żydów i lewicowców, i utworzymy królestwo Boże właśnie tu, w tym maleńkim miasteczku, jak niegdyś poczęło się ono w ubogiej wioszczynie Betlejem — mam na myśli Betlejem nie u nas w Ameryce *), lecz w Ziemi Świętej.

W końcu, po przerwie, poświęconej zbiórce pieniędzy, która przeszła pomyślnie, głos Snooda okrzepł, zabrzmiał rytmicznie i nisko, jak łoskot miedzianego dzwonu.

— Dzisiaj mało mówiłem o naszych kolorowych przyjaciołach, ale przyjdźcie jutro wieczorem, a wyjawię wam coś tyczącego się tych przeklętych dzieci Baala, których Pan stworzył czarnymi za ich dawne grzechy i uczynił na zawsze sługami białego człowieka. Opowiem wam o zamysłach Żydów, którzy chcą, żebyśmy wszyscy znaleźli się pod czarną piętą tych wyrodków. Powiem wam coś takiego, o czym gazety boją się pisać, takiego, że słuchać będziecie i drżeć.

Nie nadszedł jeszcze czas odrodzenia klanu, ale zanim dokonamy tego, chcę drodzy bracia w Chrystusie, byście zrozumieli, co znaczy — wznieść wysoko krzyż życiodajny, co znaczy ogień oczyszczenia i księga, z której czerpiemy mądrość i bicz i powróz, którymi Pan sam wypędzał poborców ze świątyni, a które puścimy w ruch przeciw czarnym demonom. Oni to uciekali z błogosławionego Południa po to, by tysiącami wtargnąć do naszych fabryk, do naszych barów, nawet do naszych domów i pościeli! Przyjdźcie więc jutro wieczorem, a poznacie wiele.

A teraz... o miły Panie nasz, łaskawy Jezusie uczyń to, by kazanie to nie dzięki sile i krasomówstwu naszemu, ale Twojej miłości targnęło sercami całej zgnębionej ludzkości! Módlmy się bracia!

Sinclair Lewis
Tłum. w. r. k.

*) (Wifleem lub Betleem — centrum stalowego przymysłu w stanie Pensylwania).

Stanisław Orzeł

List nauczyciela i pisarza

Droga do pamiętnika

W związku z fragmentami pamiętnika Stanisława Orła drukowanymi w nr 5 „Wsi" pt. „Dzieciństwo" otrzymaliśmy od autora informacje o jego drodze życiowej i pisarstwie, które zapewne zainteresują czytelników.

Nie mogę nazwać mego „Kalikanta", (którego fragmenty pt. „Dzieciństwo" wydrukowała „Wieś") nagłym wykwitem, cudem, czy przypadkiem. Dwadzieścia lat ciągłego szarpania się ze swoim „ja" pisarskim kończyło się wrzucaniem w ogień zapisanych brulionów noweli, czasem powieści, które czytane powtórnie często dopiero po upływie roku, wydawały mi się zawsze za słabe. Skazany na samokrytykę niszczyłem wszystko, co kosztowało mnie bezsenne noce, przyśpieszone bicie serca i plany, plany. Była to tylko proza. Tematyka — wieś. Droga z mojej wsi pod puszczę jodłową Łysicy, garbata, kamienista.

Przeznaczony na nauczyciela szedłem wąwozem, którego przekroczenie groziło powrotem na wieś — groziło „służbą", a służbą taką to było w dzieciństwie pasienie cudzego bydła, potem młocka, licha zapłata, nierzadko nóż i kradzież, bo takie wówczas prawo rządziło skazanymi na „służbę". I dziwne — zamiast buntu rodziło się powoli we mnie postanowienie powrotu na wieś, by innym drogę lepszą w świat pokazywać. Zamiast rewolucjonisty — rodził się upór i chęć pracy. Śmieszne sny! W 1933 r. wyjeżdżam na Polesie. Parę lat pracy zakłamanej w szkole i wreszcie ucieczka do szkoły nauk politycznych. Zdawało mi się, że odnajdę drogę powrotną do wsi. Wojna kazała mi zostać u Sąsiada. Przez cały ten okres kilkunastu lat, wtłoczony w zatęchłe ramy izby szkolnej — pisałem. „Wyrobnik", „Zemsta drwala", to zolistowskie, twarde i mściwe postacie chłopów. Poszły w ogień. I słusznie. Brak było tym postaciom głowy. W 43 r. zacząłem pisać „Kalikanta", „Bielone płoty" i „Ostatnie strzały". Pisałem, aby niszczyć. Oderwany od wsi, znajdowałem w swych obrazach luki. Całodzienna, bo od ósmej rano do siódmej wieczorem trwająca praca w gimnazjum nie pozwala mi nadal wnikać w tętno wsi. Zachęta dzielnej kobiety i ciągłe przypominanie Prof. Sz. zmusiły mnie do wysłania swej nikłej pracy do Redakcji „Wsi". Podjęte przed trzema laty próby przedstawienia małomiasteczkowego życia porzuciłem: ludzie bez treści. Próbowałem poezji. W dzisiejszych warunkach ciężkiej pracy nie chcę mówić o planach literackich na przyszłość. Chciałbym wrócić na wieś na pewien czas, aby ją teraz „przestudiować". „Kalikant", jak słusznie zauważyła Pani Kamieńska, jest oparty na własnych przeżyciach i takich jak ja „nic-chłopców" z tamtych czasów.

Z poważaniem

Stanisław Orzeł

Tarnobrzeg, dnia 24.I. 1948 r.

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (VII)

PRZEDWIOŚNIE RADYKALIZMU*)

1. KLĘSKA STARYCH

Srodze się w r. 1933 zawiedli chłopi ze wsi W., którzy w liczbie około setki pośpieszyli do Grodziska wesprzeć tamtejszą „rewolucję": ten istotnie rewolucyjny odruch kilku tysięcy chłopów środkowej Małopolski nie był zorganizowany przez Stronnictwo Ludowe. Na polach Grodziska wyładowywała się wprawdzie rewolucyjna energia dołów członkowskich SL. Ale władze Stronnictwa ani nie prowadziły chłopów do rewolucji, ani nie ukazywały im rewolucyjnych perspektyw. Władze ówczesnego Stronnictwa Ludowego tak centralne jak okręgowe zostały opanowane przeważnie przez prawicę z b. Piasta. Już na szczeblu powiatowym, w Łańcucie, Stronnictwem kierowali głównie byli piastowcy zyskujący sobie wśród chłopów uznanie i autorytet za nieugięcie wrogą postawę wobec sanacji. Biedniacy z W., którzy opanowali tamtejszą komórkę SL, mieli pełne zaufanie do polityki wyższych władz Stronnictwa. Wierzyli, że Stronnictwo prowadzi politykę w ich interesie. Tragedia ich polegała na nierozumieniu własnego klasowego interesu. W ich bowiem interesie klasowym była gruntowna przebudowa ustroju kapitalistycznego, który stał się więzieniem dla nich i ich rodzin. W ustroju kapitalistycznym na jego ówczesnym, sanacyjno-faszystowskim etapie rozwojowym znikła dla nich doszczętnie perspektywa awansu społecznego do dobrobytu i kultury. A tym bardziej dla ich dzieci, dla których ani nie starczyło ojcowskiej ziemi, ani nie było pracy w przemyśle, ani szkoły zawodowej. Głębsza analiza tego stanu rzeczy musiałaby rewolucjonistów z Grodziska doprowadzić do przekonania, że w ich interesie jest rewolucja ludowo-socjalistyczna. A więc naprawdę rewolucja. A przecież nie do niej powadził ich Witos, który, choć z trybuny wiecowej w Rakszawie rzucał gromy na sanację, to przecież na procesie brzeskim zupełnie wyraźnie wyparł się dążeń „wywrotowych" Witos gwałtownie zwalczał sanację i zmierzał do jej usunięcia. Ale w miejsce sanacji żądał przywrócenia stosunków mniej więcej przedmajowych, żądał przywrócenia „praworządności", to znaczy praworządności liberalno - kapitalistycznej, z którą wiązał nadzieję powrotu do władzy. Szeregowi SL-owcy z W. nie orientowali się dostatecznie w wewnętrznym przeciwieństwie, jakie trawiło ówczesne SL, a przeciwieństwo to miało charakter właśnie klasowy. Z jednej bowiem strony Stronnictwo miało program kapitalistyczno - liberalny (nawet wywłaszczenia wielkiej własności bez odszkodowania program nie przewidywał [1]) i działających w jego duchu przywódców z Witosem na czele; miało więc oblicze kmieco - kapitalistyczne. Tymczasem masy członkowskie Stronnictwa stawały się w coraz większej, przeważającej mierze średniacko-biedniackie, a na terenie wsi W. w przeważającej mierze biedniackie. W klasowym interesie tych mas było oczywiście zlikwidowanie sanacji lecz równocześnie najbardziej zasadnicze, radykalne zmiany ustroju gospodarczo - społecznego w kierunku socjalistycznym. Tego zaś bała się jak ognia kmieco - piastowcowa prawica, bo to zalatywało „bolszewizmem". Tak więc pełne zaufanie chłopów z W. do polityki Stronnictwa Ludowego zasadzało się na ich niedojrzałej świadomości klasowej, której rozwój musiał prowadzić nieuchronnie do ujrzenia i zrozumienia klasowego przeciwieństwa wewnątrz SL.

„Rewolucja" w Grodzisku skończyła się więc tak, jak w tych warunkach skończyć się musiała: klęską i bezsilnym, ślepym złorzeczeniem, a marsz około 10 tys chłopów na Przeworsk zorganizowany przez SL został uznany pzez chłopów za maksymalny wysiłek Stronnictwa popierający żywiołową „ruchawkę". Delegacja chłopska przedstawiła staroście przeworskiemu „12 żądań chłopskich, które zawierały postulaty wsi, domaganie się reform społecznych, usunięcia krzywd oraz przywrócenia Polsce praworządności demokracji, co równać się miało zapanowaniu wolności, sprawiedliwości, a tym samym likwidacji chłopskiej rewolucji" [2]). A oto, co ta delegacja poparta przez 10 tys chłopów wskórała u przeworskiego starosty. Władze zapewniły delegacji, że to spełnione będzie, byle chłopi wrócili do domów. Zbudzona fala odpłynęła. Na drugi dzień żądania spełniać poczęto. W Przeworskiem, Łańcuckiem, Rzeszowskiem Rapczyckiem pacyfikacje i aresztowania. Są zabici i wielu rannych. Przemoc, bezprawie, policyjność, która triumfuje. Wieś środkowej Małopolski po zajściu przedstawia widok burzą stratowanego łanu dojrzewającego zboża. Zmulona, pobita gradem, zdziesiątkowana" [3]).

A przecież historyczna droga rzeczywistej poprawy losu chłopów z W. i całej podstawowej, średniacko - biedniackiej i bezrolnej masy chłopów polskich nie prowadziła poprzez demonstracyjne marsze na miasta powiatowe i przedkładanie żądań sanacyjnym wielkorządcom. Droga ta prowadziła poprzez dorabianie się przez chłopów świadomości klasowej, poprzez budowę **organizacyjnej siły** zdolnej do rzeczywistego radykalnego przekształcenia kapitalistyczno - faszystowskiego ustroju, poprzez budowę antyfaszystowskiego frontu wszystkich żywych ludowo - demokratycznych sił w narodzie a przede wszystkim jednolitego frontu i sojuszu chłopów z robotnikami, których gnębił ten sam sanacyjny faszyzm. Zwłaszcza, że w okresie zajść w Grodzisku i innych miejscowościach Małopolski, gdzie sytuacja chłopów była najgorsza, wzmagał się w Polsce robotniczy ruch strajkowy. „Począwszy od roku 1931 fala strajkowa wzbiera z niepowstrzymaną siłą, osiągając swój punkt kulminacyjny dopiero

*) Patrz prace M. Grada — rocznik 1948 „Wsi": „Walka klasowa na wsi rzeszowskiej", „Wieś" Nr 43; „Wieś W. na gospodarczo-społecznej mapie świata", „Wieś" Nr 44; „Struktura klasowa wsi W. w XX wieku, „Wieś" Nr 46; „Kmieco kapitalistyczna młodość warstwy chłopskiej", „Wieś" Nr 47; „Pierwsze starcie", „Wieś" Nr 51 oraz „Wieś" Nr 3. r. 1949: „Rewolucja na oślep".

[1]) Wywłaszczenie wielkich obszarów bez odszkodowania jako punkt programu uchwalił dopiero Kongres SL w dniu 8 grudnia 1935 r. Wtedy to na znak protestu opuścił salę obrad ówczesny piastowcowy prezes SL na województwo poznańskie Stanisław Mikołajczyk z kolegami.

[2]), [3]) W T Fołta: „Wspomnienia z akcji jednofrontowej", „Wici" z 20.VI 1948 r.

w roku 1937. Pierwszy etap walk strajkowych obejmuje okres lat 1931 — 1934. W tym czasie liczba strajków wzrosła z 359 do 1003, liczba strajkujących ze 107 tys. do 401 tys., dni straconych wskutek strajków z 368 tys. do 3 milionów 903 tys. (Aby uświadomić sobie, co oznaczają te cyfry dla Polski, kraju stosunkowo słabo uprzemysłowionego w porównaniu z przodującymi krajami kapitalistycznymi, wystarczy wskazać, że łączna liczba strajkujących w Anglii, Francji, Belgii i Czechosłowacji w tym okresie wyniosła w przybliżeniu zaledwie 75 proc. liczby strajkujących w samej tylko Polsce)" [4]).

2. RUCH MŁODZIEŻY

Trudno byłoby jednak uznać „rewolucję w Grodzisku" za całkiem przegraną. Jej napięcie, ofiary, nagłe odsłonięcie się prawdy politycznej, jej odblaski na okolicę nie rozpłynęły się bez śladu. Przegrali starzy chłopi, załamała się ich akcja polityczna — rewolucyjna i „parlamentarna". Przegrało Stronnictwo Ludowe, ujawniając niezdolność do skutecznego wyprowadzenia chłopów z beznadziejnej sytuacji. Ale na miejsce fali starych, zorganizowanych politycznie wstępuje teraz fala młodych, organizujących się w związek młodzieżowy. Na wyobraźnię młodzieży oddziałała „rewolucja w Grodzisku" w przeciwieństwie do starszego pokolenia, nie załamując ich jak starych na parę lat (nowa fala strajków w 1937!) Przeciwnie, zaostrza i ożywia działalność młodych. Dopiero teraz, po pięciu latach od rozłamu w Związku Młodzieży Wiejskiej, kiedy to w 1929 powstają „Wici" jako secesja „Siewu", teraz dopiero na wsi W. zaszczepia się wpływ „Wici".

Jeszcze przed wykończeniem domu ludowego w roku 1932 zarysowały się poważne różnice ideologiczne wewnątrz tamtejszego koła młodzieży. W atmosferze wzrastającego terroru sanacyjnego, wzbierającej fali czynnego oporu przeciw sanacji, w atmosferze „rewolucji w Grodzisku" nie można było dłużej kontynuować tradycyjnej, „MTR-owskiej", „apolitycznej" linii, ponieważ linia ta coraz bardziej i wyraźniej stawała się sanacyjna. Już przed kilku laty poszedł przecież do sanacji znany we wsi W. działacz MTR i byłego Stronnictwa Chłopskiego Karol Polakiewicz. Za jego przykładem kilku aktywistów koła młodzieży w W. nawiązało kontakty z władzami sanacyjnymi otrzymując podrzędne „posady" bądź też licząc na ich uzyskanie. Toteż przyciągnęli oni koło do Związku Młodzieży Ludowej („zielone koszule"). Kilku innych, przeważnie najstarszych, pracujących w kole jeszcze od jego początków (1921), przywykłych do konkretnej zwłaszcza gospodarczej roboty a obecnie zgorszonych wciąganiem koła do „polityki", przy tym politycznie niezdecydowanych i chwiejnych — wycofało się z pracy społecznej. Inni natomiast jeszcze przed wykończeniem domu ludowego nawiązali osobiste kontakty z okolicznymi wiciarzami i postanowił założyć „Wici". W sąsiednich bowiem wsiach były już koła wiciowe, które zaktywizowały się szczególnie od roku 1932, kiedy to w niedalekiej (10 km od W.) Gaci przeworskiej osiedlili się Ignacy i Zofia Solarzowie, prowadzący tam Uniwersytet Ludowy.

Ton kołu „zielonych koszul" nadawali: przedstawiciel jednej rodziny kmieco-kapitalistycznej, która od lat już wrosła w drobnomieszczańską inteligencję żyjąc w wyniosłej izolacji od reszty wsi; dalej — kilka osób z rodzin średniackich, zwłaszcza zaś te, które przerwały rozpoczętą (jeszcze przed 1929 rokiem) naukę w szkole średniej. Ci wypadłszy z rozpoczętej kariery w inteligencję usiłowali zrealizować swój awans społeczny poprzez właśnie „zielone koszule". W kole znalazło się wreszcie kilkanaście jednostek, głównie z rodzin średniackich — „gospodarskich". Były to jednostki utrzymujące z ową „inteligencją" towarzystkie stosunki ulegając jej wpływom ideologicznym i stylowi życia. Koło Młodzieży Ludowej to było więc koło „pańskie", zwłaszcza że do tej grupki lokalnej inteligencji doszlusował nowy kierownik szkoły, wykonujący usłużnie polecenia swoich władz szkolnych. ZML-owcy, zwani we wsi w dalszym ciągu MTR-owcami lub krócej MTR-ami, propagowali hasło dźwigania wsi i chłopów poprzez ich włączanie do pracy „państwowotwórczej", rzecz jasna — na bazie sanacyjnej ideologii. Głosili więc ideologię solidarystycznego wrastania wsi w drobnomieszczański kapitalizm, a sposób na zaradzenie nędzy widzieli w podnoszeniu kultury rolniczej i ogólnej przy pełnej współpracy z władzami sanacyjnymi oraz zwalczaniu wszelkich tendencji „wywrotowych", określając je jako „komunistyczne" i „bolszewickie". Powoływali się na dotychczasową MTR-owską tradycję pracy koła. Przecież poprzez taką „apolityczną" pracę stanął we wsi dom ludowy. Oni chcieli tę tradycję kontynuować wrastając w ustrój podobnie, jak to robiło koło w latach 20-tych. I rzeczywiście wrastali. Ale że ten ustrój coraz bardziej się faszyzował (jędrzejewiczowska „reforma szkolna", obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej, konstytucja kwietniowa i oparta na niej ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu, krwawe tłumienie odruchów chłopskiego buntu i robotniczych akcji strajkowych i protestacyjnych, pakt z Hitlerem) — no to wrastali w faszyzm. Toteż w konsekwencji ZML znalazł się wreszcie (1938 r.) w Związku Młodej Polski, swoistej syntezie sanacyjno-ONR-owskiej (ONR — faszystowski Obóz Narodowo-Radykalny). Tutaj już praca „państwowotwórcza" znalazła wyraz jawnie faszystowski. Przecież jeździło się nawet do Norymbergi po wzory.

Do walki z „zielonymi koszulami" przystąpiło we wsi koło wiciowe. W r. 1933 skromne były jego początki, bo nawet zebranie organizacyjne odbyło się nie w domu ludowym, lecz w chałupie czy też pod chałupą owego „heretyka", który jeszcze przed dwudziestuparu laty niemało we wsi narobił ruchu. W kole wiciowym znalazła się młodzież średniacko-biedniacka. Aktywiści wiciowi orientowali się na bardziej zaawansowane w rozwoju koła w sąsiednich wsiach, przede wszystkim jednak na Gać. Walka wiciarzy z „zielonymi koszulami" stale przybierała na sile i w różnych toczyła się formach, a okazji nie brakowało. Sam fakt, że oba koła korzystały z jednego domu ludowego, stanowiącego własność gromady, nastręczał wiele sposobności do czynienia sobie wzajemnych wstrętów (zwłaszcza, że był tylko jeden garnitur kluczy do domu). Konkurowano ze sobą w urządzaniu imprez, zwłaszcza zabaw i przedstawień. (Tutaj wiciarze rychło osiągnęli przewagę, wielką bowiem popularność zyskały sobie we wsi tzw. „wieczornice", urządzane wg wzorów wprowadzonych przez Zofię Solarzową w Gaci). Układano na siebie złośliwe wiersze. W ten sposób pogłębiała się stale atmosfera wzajemnej niechęci, a z czasem wrogości. Bo też istotnie krystalizowały się dwa przeciwstawne sobie obozy wewnątrz wsi W. Obóz „zielonych koszul", to był obóz kmieco-średniacki, wyposażony w ideologię wrastania w sanacyjny faszyzm. Obóz zaś wiciowy był średniacko-biedniacki. Był on właśnie w trakcie ideologicznego zbrojenia się, poszukiwania właściwej drogi, sposobu walki i pracy. Że należy walczyć nieugięcie przeciw sanacji — to było w tym obozie niewątpliwe. Ale o co — pozytywnie — walka ta miała iść?

Toczyli więc wiciarze gorące dyskusje w swoim kole i poza nim. A dyskutowali na wszelkie możliwe tematy. O krzywdzie i niesprawiedliwości, wyrządzanej chłopom przez sanację, o historii wsi, a zwłaszcza o czasach pańszczyźnianych, o klerze i religii, o wojnach, o kryzysie gospodarczym, o kulturze ludowej, o wolności, o przebudowie społecznej, o wychowaniu, o potrzebie nowej moralności. Podnietę, materiał i wytyczne do tych dyskusji czerpali przede wszystkim z pobliskiej Gaci, na którą były zwrócone ich oczy, do której najaktywniejsi z nich zachodzili często, biorąc udział w różnych kursach, przysłuchując się toczonym tam dyskusjom, a wreszcie próbując zabierać głos. To, co się działo w Gaci, przepełniało ich wiarą i nadzieją. Wierzyli święcie, że tam właśnie wykuwają się kształty przyszłej sprawiedliwej Polski, którą „uładzą" chłopi, odepchnięci dziś od rządów i znaczenia, poniewierani przez sanacyjną policję. Z solarzowej Gaci szła „jakaś serdeczna siła". I chociaż uniwersytet mieścił się na razie w zwykłej chłopskiej chałupie Jacka Brożbara i w lokalu koła wiciowego, bo nie było innego pomieszczenia, otaczali go szacunkiem i miłością, właśnie dlatego, że działał w tak skromnych warunkach. Toteż gdy nastał okres budowy domu dla uniwersytetu, „świetlistego domu" (1934—1936) wiciarze z W. pośpieszyli z pomocą i zdołali poruszyć tą sprawą własną wieś. Nie ograniczyli się do dyskusji i uchwał własnego koła. Zachodzili do sąsiadów, przekonywali, że chłopskim obowiązkiem jest wziąć czynny udział w budowie, że trzeba wozić piasek (wieś W. położona jest nad rzeką Wisłok, znad której częściowo wożono piasek na budowę), a kto nie ma koni, ten powinien dać pracę własnych rąk.

Ten wzrost wiciowej aktywności wywołał wzmożenie czujności władz sanacyjnych, z którymi we wsi W. współdziałały, oczywiście w dyskretnych formach, „zielone koszule", tracące wyraźnie teraz w oczach znacznej większości wsi. Sanacja widziała w kołach wiciowych, a zwłaszcza w gackim uniwersytecie wylęgarnię „wywrotowych", „bolszewickich" myśli. Zagrzmiały także ambony, z których księża, obawiający się (zupełnie słusznie) utraty „rządu dusz" na wsi, wskazywali na wiciarzy jako na „bezbożników", „komunistów" i „masonów". Szczególne nasilenie tej nagonki przypadło właśnie na okres budowy domu uniwersyteckiego w Gaci. „Nawet zaczynają się dziać cuda, gdyż ukazała się w sąsiedniej wsi Białobokach Matka Boska. Na poparcie tego cudu księżna Lubomirska ogłasza, że również widziała Matkę Boską przy tym samym źródle, która wskazywała na Gacką Górkę jako na siedlisko zła. Zaczęły się masowe pielgrzymki ludności okolicznych wsi z udziałem duchowieństwa, chciano za wszelką cenę odciągnąć uwagę od budowy Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego, a zużytkować zapał do budowy nowego kościoła w Białobokach. I Solarz i wszyscy działacze społeczni zainteresowani budową zachowują postawę spokojną, nacechowaną powagą chwili i wierzą w pomyślne zakończenie rozpoczętej pracy. Po pewnym czasie cudowne objawienie zawiodło, oszustwo się wydało i źródło nadal pełniło swe właściwe zadanie" (Zygmunt Zakrzewski — „Historia Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego w Gaci", str. 48 i 49, wg maszynopisu, użyczonego przez autora).



Wieś Gać

3. NURT NIEROZWINIĘTY

Ale nurt, w jaki „Wici" włączyły młodzież ze wsi W. (a bardziej jeszcze promieniowanie pobliskiej Gaci) okazał się już w najbliższych latach nurtem „infantylizującym" młodzież chłopską. „Rewolucja w Grodzisku" nie musiała ożywić młodych, zamykając ich równocześnie w **młodzieżowych** formach działania. Historyk dziś ma prawo zapytać, czy rzeczywiście wykluczone były dla młodych możliwości **politycznego** działania? Czy ona do niego nie lgnęła? Czy blask „rewolucji w Grodzisku", jaki padł na młodych w Rzeszowskiem, nie wydobył z mroku czegoś więcej, i bardziej na serio, nad to co w szkole Solarza dosięgło tylko przekonania o „ewolucyjnym" doprowadzeniu do sprawiedliwości społecznej przez wychowanie i spółdzielczość? (Wiciarze ze wsi W. założyli w r. 1936 spółdzielnię spożywczą). Historyk może dostrzec po r. 1933 początek nurtu innego, bardziej skutecznego, bardziej związanego z praktyką działania politycznego, bardziej zrośniętego z treścią i sensem społecznym „rewolucji w Grodzisku". Władysław Fołta przypomina ten okres: „Pogłębia się poczucie krzywdy oraz budzi się refleks, iż dwa powiaty, ani sami chłopi rewolucji w Polsce zwycięskiej nie uczynią. W 1934 r. dojrzewa wśród kół „Wici" myśl. Chłopi muszą posiadać **sprzymierzeńców** i to tam, gdzie są **ośrodki władzy**. Chłopi muszą ze sprzymierzeńcem uderzyć w sanację równocześnie i w całej Polsce. Chłopi wygrać mogą tylko w walce, którą **wywołał kapitalistyczny ustrój.** Sprzymierzeńcem może być tylko **warstwa robotnicza.** Jest walcząca jak i my. Gnębiona jak i my. Mieszka blisko ośrodków władzy — w miastach, gdzie w walce o ustrój rozegra się zasadniczy akt. Warstwa robotnicza, tak jak i my dąży do budowy demokratycznej Polski. Z nią należy być w sojuszu.

Ktoś gdzieś kogoś reflektował, że to „komunizm". Nie słuchaliśmy. Po wytknięciu sobie celów następuje **szukanie kontaktów.** Idzie to opornie, bo środkowa Małopolska to rolniczo-chłopska część kraju. Prawie, że nie ma robotników. No nareszcie kol. P. Św. odnalazł w Łańcucie nieliczny (kilka osób dosłownie) dość przestarzały TUR. Stwierdzamy, że to mało społecznie znaczy, choć już jest dużo politycznie. Współpraca musi być w całej Polsce z szerszym zespołem młodzieży robotniczej, aniżeli TUR" (Wł. Fołta op. cit.).

Ale z wielkim trudem wśród ludowców Małopolski środkowej torowała sobie drogę idea jednolitego frontu z robotnikami. Jeżeli jednak z jednej strony trudności te wiązały się z sytuacją w ruchu ludowym, to z drugiej strony były również, trudności związane z sytuacją w ówczesnym ruchu robotniczym. PPS opanowana była przez prawicowe, oportunistyczne, antyrewolucyjne kierownictwo, przeciw któremu formowała się właśnie wewnętrzna, jednolitofrontowa opozycja. A K.P.P.?

Komunistyczna Partia Polski nie od razu potrafiła uchwycić te przemiany, jakie zaszły w pewnej części PPS, nie od razu potrafiła przezwyciężyć w sobie hamulce sekciarskie, które szczególnie ostro wystąpiły w latach 1930—1933.

Jednak kierownicza rola Partii Komunistycznej w akcjach strajkowych świadczyła o jej więzi z masami robotniczymi. Ale nie dostrzegając w porę szybko postępującego procesu radykalizacji mas członkowskich PPS i stronnictw chłopskich, procesu, który objął również pewne odłamy aktywu tych partii, nie doceniając tych sił sojuszniczych w walce z zaostrzającą się faszyzacją wszystkich dziedzin życia społeczno-politycznego — **KPP nie wykorzystała sytuacji wyjątkowo pomyślnej w owym czasie dla budowy wspólnego frontu przeciw** faszyzmowi sanacyjnemu.

Przewrót hitlerowski w Niemczech stanowił poważny wstrząs również i dla KPP. Na gruncie własnych doświadczeń a także pod wpływem Międzynarodówki Komunistycznej, która jeszcze przed VII Kongresem (sierpień 1935) wyciągnęła wnioski z nowej sytuacji międzynarodowej, KPP zaczyna stosować znacznie bardziej giętką taktykę w dziedzinie konsolidacji sił antyfaszystowskich". (Tadeusz Daniszewski op. cit. str. 140).

Dlatego to na etapie 1933—1935 a nawet szerzej 1929—1935 rozwój ruchu wiciowego bogaci się swobodnie (od góry) mistycyzmem słowianizmem i agraryzmem, i dopiero, niestety tak zaawansowany ideologicznie wejdzie w starcie z nurtem jaki ukazuje Fołta, wejdzie w latach 1935-7

(Zakończ. w nast. n-rze)

Mieczysław Grad



Wiejski Uniwersytet Orkanowy w Gaci



Budowa domu U. L. w Gaci 1935—36 r.

---

[4]) Tadeusz Daniszewski — „Droga walki KPP", Nowe Drogi, Nr 12, listopad — grudzień 1948 r., str. 137.

Józef Pogan

Obrachunki literackie

KLASOWĄ DROGĄ



Józef Pogan

Pisarstwo moje nie zrodziło się wcale ani z intelektualnego poznania literatury, ani też z przypadkowego zetknięcia się z literatami, czy innymi inteligentami. — Zrodziło się raczej z przeżywania własnej i odczuwania cudzej nędzy. Wygląda to poniekąd na paradoks, wszak do pisania trzeba mieć trochę oczytania i pojęcia, jak również wiadomo już społeczeństwu, że osoba inż. Rościszewskiej też na mnie podziałała. Ale jakieś tam oczytanie czy zachęta Rościszewskiej — to już jakby tylko motory do skonstruowanej maszyny — maszyny składającej się z przykrych rozmyślań, przeżyć, obserwacji, doświadczeń, wewnętrznego bólu, buntu... Obecnie bardzo wątpię, czy oczytanie i zachęty inteligentów pobudziłyby mnie do pisania, gdybym np. od dzieciństwa miał, jako rolnik dobre lub znośne warunki życia. Może nawet nie doszłoby i do oczytania, a tym samym niemożliwy byłby dla mnie dostęp do inteligencji. Przeciwnie: mógłbym nawet zapomnieć i tego, czego się w szkole przez parę zim nauczyłem. Dowodem tego jest przecież to, że zaprzestałem czytać od lat łobuzerskich aż do czasu usamodzielnienia się w mackach nędzy. Natomiast jest pewnym, że gdybym otrzymał wykształcenie, byłbym niezawodnie pisał o kilkanaście lat wcześniej i lepiej.

Ponieważ byłem wypchnięty poza nawias życia i wrażliwy, po prostu pękała mi głowa od przeróżnych myśli. Niepokój ten nie pozwalał mi ani na grę w karty z sąsiadami, ani na rozweselenie się na zabawie, ani wreszcie na biadolenie nad swym losem. Byłem do cna struty tym, co przeżywałem i co widziałem wokoło. Ileż to razy przypominało mi się, gdy mając może pięć czy sześć lat, słyszałem, jak jednomorgowy sąsiad biadolił nad swymi dziećmi: — „Chudzięta, nawet jałowo nie dozyrajo“. Albo jak drugi sąsiad przez kilkanaście lat, czy to w mróz czy w upał, chodził stale w wyszarzałej, postrzępionej kapocinie.

Albo jak mnie rodzice z mniejszym dzieckiem i niemowlęciem zamykali w izbie, gdy szli w pole do pracy. Niemowlę kwiliło, a ja huśtałem kołyskę bez wytchnienia. I często kołyskę wywróciłem do góry nogami. Wtedy i ja płakałem wraz z maleństwem, bo kołyski nie potrafiłem dźwignąć. A po powrocie rodziców dopiero wyłem podczas chłosty!

A później...? Ot jeden przykład: czteroletnie dziecko prosi ojca: „Kup, tato, zimnioków“. Tato nie miał grosza i musiał z rodziną jeść przed wiosną żarnową, jałową papkę z jęczmiennej mąki.

Takich wzruszających przykładów spotykało się nie mniej na dobę, niż godzin w niej. Ileż się naprzyglądałem różnej nędzy biedoty wiejskiej, ich krzywdy od bogatszych, ich upodlenia ze wszech stron!

Ten tylko się dowie, co to znaczy nędza, kto ją przeżywał przez długie lata. To nie jest np. jakiś jednorazowy, krótszy lub dłuższy wysiłek czy cierpienie na froncie, którego nie można porównywać do codziennego przez całe życie wlokącego się koszmaru, gdy ciężkim problemem było zdobycie nawet pięciu groszy na konieczną potrzebę, czy kawałeczek chleba.

Te przeżywania i odczuwania odgrzebały powoli we mnie dziecinne zamiłowanie do czytania Więc wolne od pracy chwile na czytaniu i rozmyślaniu spędzałem.

Mówi się o takim czy owakim talencie. Ale w odniesieniu do mnie może być mowa raczej o tragicznej pozycji marnującego się człowieka w złym ustroju społecznym. W takiej pozycji przy lada uświadomieniu rodzi się bunt przeciwko panującemu porządkowi. Toteż moja twórczość, chociaż miała uboczne, impulsywne przyczyny, właśnie z tego buntu się zrodziła.

Miałem już 33 lata, gdy zacząłem stawiać pierwsze, niedołężne kroki literackie. Oprócz paru pisemek, najczęściej drukowałem w „Chłopskiej Prawdzie“, której ówczesnym redaktorem był obecny członek KC PZPR, Stefan Matuszewski. Ciężko wypracowane felietony czy wiersze zawsze chętnie mi drukował, a raz nawet dał w specjalnej „obwódce“ moje nazwisko nad felietonem „Dziwne spotkanie“, w którym to felietonie z wielką drwiną posłałem samobójcę Sławka Walerego do piekła. (Na myśl tę wpadłem z racji „Piekielnej Bramy“ jaką się zowie wąska droga między dwiema skałami prowadząca do Doliny Będkowickiej).

Przyszła wojna, a z nią straszna chwila życia. I przyznam się szczerze, że choć mi jeszcze ciężej żyć było, jednak wcale sobie nie krzywdowałem, jak przed wojną. Mimo ciągłej obawy przed aresztowaniem (a miałem wobec Niemców wiele grzechów na sumieniu), radowałem się nastaniem innego porządku i to mię podtrzymywało na duszy. Tak nastawionemu psychicznie, oczywiście łatwo się pisało pierwsze „Ugory“, choć warunki materialne i obawa denucjacji krępowały mnie ogromnie.

Intencją moją przy pisaniu „Ugorów“ było: pokazać prawdziwe, społeczne oblicze wsi, by po wojnie odpowiednie czynniki mogły z tego wyciągnąć należyte wnioski i odpowiednio na to zareagować. Bunt, jaki się we mnie od dawna zrodził, nie pozwalał mi już na rozmazywanie się w sentymentalizmie nad biedotą. Czułem, iż roztkliwianie się nad nimi byłoby bezcelowe, wzbudzające tylko litość i współczucie u czytelników, a nic więcej. Ważniejszym natomiast wydawało mi się zestawienie kontrastów życiowych, bo przez nie czytelnik łatwiej dochodzi do przyczyn i źródeł zła. Zresztą, nie zadowoliłbym się, gdybym — mówiąc w przenośni — zamiast krwawego kata — przedstawił tylko samą ofiarę. Czyli — mówiąc znów w przenośni — postanowiłem nie lamentować nad umarłymi, nie wzbudzać ich do życia, a tylko wystąpić do walki z epidemią.

Po napisaniu zdawało mi się, że „Ugory“ będą przysłowiowym „kijem w mrowisku“. Tegoż zdania byli moi niektórzy ówcześni przyjaciele, przed którymi zwierzyłem się z dokonanej pracy. Uważali oni, że czarne postacie „Ugorów“ są istnym paszkwilem na wieś. Ocenę ich można w ten sposób streścić: „Dotychczasowi pisarze o wsi przedstawiali ją zazwyczaj w różowych kolorach, co szlachetnym osobistościom utrudniało walkę o chłopską moralność. Natomiast Pogan przedstawił nam chłopa zacofanego, skąpego, chciwego, gburnego, obskurnego, uporczywego, kłótliwego itd. Jest to prawda, bo myśmy już trochę od tej strony wieś poznali. Dlatego też „Ugory“ Pogana będą wielce pomocne w mozolnej pracy przy oczyszczaniu chłopów z ich wad i przywar. O tym mi przecież w oczy „ogródkowo“ mówili, choć Bogiem, a prawdą, nie mieli w sobie wcale nienawiści do chłopów, a tylko zamierzali ich moralnie przekształcać i bardziej z innymi klasami zbratać w powojennej Polsce, w której już nie powinno być miejsca na klasowe rozgrywki, a tylko na „chrześcijańską miłość“ całego narodu“.

Z tych to powodów czarne „Ugory“ wielce zainteresowały mych przyjaciół z miasta. Na propozycję oddania do potajemnego wydawnictwa chętnie się zgodziłem, konałem bowiem z nędzy. Więc 200 zł. zaliczki stały się skarbem dla mnie. Na razie nie wiedziałem, jakie to było wydawnictwo, święcie tylko byłem przekonany, że polskie i konspiracyjne i to mi wystarczyło. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, iż to była katolicka „Unia“ z której przedstawicielem — po zniszczeniu się rękopisu w czasie powstania warszawskiego — zerwałem wydawniczą umowę.

Dotychczas jeszcze dla mnie nie jest jasne, dlaczego właśnie katolicka „Unia“ wzięła i zaliczkowała „Ugory“! Czyżby właśnie dla tego paszkwilu na chłopów? Możliwe, ale niezupełnie, bo przecież recenzenci książki dostrzegli w niej coś więcej niż ów paszkwil na wieś. Liczyli zapewne na wielkie, według swego uznania, poprawki, na które bez zgody autora sobie pozwolą, albo w ostateczności sądzili, że autor jako nędzarz na wszystko się zgodzi.

Na potwierdzenie owych przypuszczeń mam obecnie dowody: właśnie ci moi dawni patronaci patrzą teraz na mnie niełaskawym okiem. Mają wielkie wyrzuty sumienia, iż „wychowali psa na swoją nogę“. Ich wypowiedzi pod moim adresem nie chcę powtarzać i powtarzać nie będę. Wspomnę natomiast o pewnym księdzu z ich towarzystwa. Z księdzem tym żyłem przyjaźnie w czasie okupacji, często dyskutowaliśmy na przeróżne tematy. Znał on z opowiadania mych „opiekunów“ treść „Ugorów“ i życzył mi powodzenia. Ale zaraz po zakończeniu wojny, gdy zostałem członkiem Związku Literatów — ksiądz radził mi życzliwie: „Niech pan będzie ostrożny, niech pan uważa na przyszłość i na razie drukuje lichsze utwory, a lepsze na później zostawia. W przyszłości będzie w literaturze czystka“.

A co obecnie ów ksiądz mówi o mym pisarstwie? — Mówi to, za co się wytacza procesy sądowe. Ale weź go licho! — przebaczam mu nie w „imię chrześcijańskiej miłości bliźniego“, lecz po prostu z pobłażliwości dla wykształconych siewców ciemnoty i bałamuctwa Walka nasza z nimi jest na innym polu — na polu społecznym. Osobiste oczernianie mnie przez księdza wśród chłopów, gdzie mnie znają, jest charakterystycznym przykładem stosunku znacznej części kleru do wszystkiego, co postępowe. Taki niezręczny cios trafia zawsze w siebie, a nie w przeciwnika, gdyż i prosty, wieśniaczy lud pojmuje jasno, o co tu chodzi.

Wspominam o tych niby osobistych sprawach dlatego, że one wcale nie mieszczą się w ciasnych ramach osobistych nieporozumień, porachunków, bo ich tło jest inne i ważne, a na imię mu: „walka klasowa“.

„Ugory“ spotkały się z żywym zainteresowaniem krytyków i dodatnią oceną. Sam zdołałem zebrać dwanaście na ogół pozytywnych recenzyj, a ukazało ich się grubo więcej. Rok temu w Wydziale Literackim „Czytelnika“ przeglądałem 21. Wszystkie prawie zgodne z sobą. Ale są też i dość dziwne powiedzonka sugerujące mi, jakobym nie znał swej jaźni psychicznej i „utrwalaniem oznak swego talentu bronił się podświadomie przed bogatszymi za swe upośledzenie“.

Nie wiem, czy to krytyczne psychologizowanie pasuje do mnie? Chyba nie. Ot, przypiąć łatkę można, ale czy słusznie, czy niesłusznie? — to już kwestia krytyka. W tym to powiedzonku krytyka przeciętny czytelnik dopatrzy się tylko mego uprzedzenia do bogatszych, psychicznego do nich urazu itp. (co też pseudokrytyk Jan Baranowicz — wpierw osobiście zapowiedziawszy, że mi specjalnie podetnie nogi — zaznaczył swego czasu w „Odrze“. Taka psychoanaliza mej jaźni pasuje mnie w oczach czytelników na mściciela bogaczy za doznane od nich „osobiste“ krzywdy. Oczywiście, nie jestem łaskaw na wyzyskiwaczy biednego ludu, ale przecież wszystkich ludzi jednakowo potraktowałem. Żaden krytyk nie udowodni mi specjalnego opowiedzenia się za jakimś wzorem biedaka, jak np. wielokrotnością faktów można udowodnić opowiedzenie się Reymonta za wzorem bogacza. Jeśli np. kierowałbym się jakimiś osobistymi względami, psychicznym urazem do bogatczych itd. — byłbym niezawodnie uwypuklił różne zalety biedoty. A tak przecież nie jest. — „Ugory“ na równej płaszczyźnie ustawiają zarówno bogatych jak i biednych. W grę tylko wchodzi ustrój i wzajemna walka. Dla lepszego zadokumentowania tego twierdzenia podaję specjalną metodę badania szczerości autora:

„Nawet geniusz w imaginacyjnej powieści nie potrafi utrzymać w jednolitym tonie swych postaci w różnych problemach życiowych przez całą ciągłość książki. Przykładem niech będzie Żeromski. Tymczasem w „Ugorach“ Mordelak, Łupik, czy Krętacz, niezależnie co robią i nad czym debatują — zawsze są utrzymani w jednym tonie. Czytelnik raz poznawszy ich nazwiska, mógłby się już dalej obejść bez ich podawania. Tym się mierzy prawdziwość autentyku.

„Ugory“ uważam za dzieło społeczne, a nie artystyczne, chociaż i częściowo tego przymiotnika nie odmawiają mu krytycy, niezależnie od tego, czy posądzają mnie o „podświadomość“, czy o „świadomą tendencję“. Zresztą, patrzącemu na tę gehennę wiejskiego życia, ważniejszym stokroć wydawała się sprawa społecznych treści, niż artyzmu, do którego nie byłem odpowiednio przygotowany i czasu w nerwowym życiu wojennym na to nie stało.

Zbiór nowel i opowiadań pt. „Cierpki owoc“ napisałem częściowo w czasie wojny, częściowo tuż po wojnie, na Śląsku. I jak to słusznie podkreślił Jerzy Falenciak („Rezerwaty“, „Wieś“ nr 32—33) utwory o przedwojennej tematyce są lepsze. To chyba nie oznacza kroku w tył, (czego Boże nie daj), wszak i parę tych o tematyce przedwojennej też już na Śląsku pisałem. Tylko jak powiedziała Anna Kamieńska w swej recenzji o „Cierpkim owocu“ („Pisarz klasy biedniackiej“. „Wieś“ nr 38—39, 1948 r.) „gdzie daje się autor unieść sentymentalizmowi, przestaje być sobą“. Muszę Jej tu szczerze przyznać słuszność. Dlaczego tak? — Bo teraz siłą rzeczy w nowym ustroju wygasa we mnie bunt, a zaczyna się poszukiwanie treści społeczno-artystycznych. To się nazywa „artystycznym rozbieraniem i składaniem zabawek“, z których przy tym eksperymencie wiele się popsuć może. To jasne. Co jednak nie oznacza, bym się „rozkleił“, bym „zdradził swą pozycję społeczną“. Oczywiście „klej“ z różnych powodów mógł nieco popuścić, co ja spostrzegłszy — jeszcze mocniej się „sklejam“ ponownie. Zaręczam, że ani mi się nie śni postąpić tak jak autor „Dwu dusz“, czy redaktor „Przyjaciela Ludu“. Ani też „typowych obronnych środków przechowanego talentu podświadomie nie użyję nigdy na obronę“ pokrzywdzonych naszych gnębicieli. Oczywiście, że w „Cierpkim owocu“ przez nieopatrzność pochwaliłem trochę bogacza. Ale ta „zdrada społecznej pozycji“ wynikła właśnie z owego rozbierania i składania zabawek. I z pośpiechu, gdy będąc redaktorem działu literackiego w „Zagrodzie Chłopskiej“, musiałem coś dawać swojego, bo współpracowników z uwagi na nikłe honoraria — nie było. A mocnymi „ugorowymi“ rzeczami nie mogłem karmić nieprzyzwyczajonych do walki klasowej, łagodnych Ślązaków. Zresztą na recenzyjny młynek „Książki“ sypnąłem więcej, niż dwanaście utworów. Parę odpadło do plew, a co poszło do ziarna, to zostało.

Mam też i drugi argument choćby na częściowe usprawiedliwienie. Chodzi najbardziej o nowelę „Dusza skąpca“. Zarzut Kamieńskiej o „zwekslowaniu“ bogatego młynarza na inny tor“ całkiem słuszny. Tylko, że ja nie chcę nikogo niewinnie krzywdzić. Nowela jest autentyczna — młynarz w czasie wojny istotnie się poprawił. Zapomniałem tylko dodać, że poprawił się dlatego, iż nigdy nie był pewien życia. Zapomniałem też dodać, że radość z nowego ustroju zapewne symulował z takich czy owakich względów. Także niejasno wyraziłem się o tym „skromnym żywocie młynarza“. Istotnie skromny, bo zwinięcia się w kłębek w szopie na słomie, lichego jedzenia i ubioru itp. niewygód nie można nazwać rozkoszą. Tylko, że woda robi, zysk się ciągnie z ludzi i zbija się pieniądze na kupkę. Więc „skromny żywot“ jest tylko spowodowany skąpstwem, a nie zaprzestaniem wyzysku. I takie niejasne ujęcie jest potknięciem autora, ale nigdy „zdradą pozycji społecznej“. Jednego z drugim nie należy identyfikować.

Nie zgadzam się też na twierdzenie o owym „załapaniu z lektury cudzej konwencji literackiej“, gdy chodzi o śmierć Górczyka w nowelce „Cierpki owoc“. Literacko ma to posmak załapania, ale socjologicznie — chyba nie. Właśnie chciałem się przeciwstawić mistycznej śmierci Boryny i przedstawić realną śmierć chłopa, który przez zły ustrój niczego się w życiu nie dorobił i, zżarty przez nędzę różnymi chorobami — zmarł tragicznie na udar serca. Taka śmierć jest realną, bo często spotykaną. A że patrzył w ziemię jako w jedyne źródło utrzymania, jak w skarb — to i co? Gdzież miał patrzeć w złym ustroju jak nie w ziemię? Czyż miał patrzeć na miasto, gdy tam: strajki, redukcja, strzelanie i więzienie robotników? szkoły zamknięte...? W takiej sytuacji narodowej chłop musiał tragicznie kochać ziemię. Oczywiście, pisarz winien wybierać takie fakty i postacie, które by krzepiły czytelników. To jasne. A gdy zrobił zły wybór, gdy się potknął wyjątkowo, to wcale nie dowodzi „zdrady swej klasy“.

„Cierpki owoc“ nie uważam za dalszy etap mej twórczości. Jest to jakby dodatkowa pozycja do debiutu. Chociaż zrodził się z tych samych pobudek co „Ugory“, jednak jest słabszą od nich pozycją. A to dlatego, że część jego utworów napisałem stanąwszy na progu nowej rzeczywistości, w której nawet często wykształceni ludzie ni w ząb nic w niej nie pojmują. Dowodem tego były przecież ostatnie we „Wsi“ głosy różnych Jelonków, Rybusów, nauczycielek z Puszcz Mariańskich, świętoszkowatych nauczycieli i tym podobnych mętlików. Ja jestem po przeciwnej stronie, co zaprzecza o „zdradzie swej pozycji“.

Gdy tak szczerze wypowiedziałem swe „confiteor“, czytelnicy chyba uwierzą, że żaden z pisarzy nie wywarł na mnie specjalnego wpływu. Bo też ich czytałem jakby „ukradkiem“, dorywczo, chaotycznie... W swym upodleniu życiowym nie miałem sił na przetrawianie literatury. W największym zapale, w uniesieniu — jeśli się tak wyrażę — najwyżej marzyłem o najskromniejszej bodaj pozycji pisarza. O takiej pozycji, w której mógłbym przelać na papier najcięższe bolączki chłopskiego życia.

O dalszym etapie swej twórczości nie chcę wiele mówić. Poszukuję nie tematów, bo tych mi nigdy nie braknie, a tylko treści społecznych i artystycznych. W ostatnim czasie wchodzę na tę drogę. Czy pójdę nią udolnie? Czy napisana ostatnio powieść zostanie wydana, czy będzie krokiem w przód, czy w tył, czy też zatrzymam się w miejscu? Choćby i niedobrze wypadło — nie zmartwię się wielce, nie zrażę się. Bo nie chodzi mi o to, jakiej miary zostanę pisarzem, tylko o to, w jakim stopniu przez swą twórczość stanę się pożytecznym społecznie. Dlatego też w publicystyce, którą od pewnego czasu częściowo uprawiam i którą doceniam — staram się pisać o tym, co według mnie dałoby doraźną, społeczną korzyść.

W NUMERZE 5 (184) TYGODNIKA „WIEŚ“ z dnia 30 stycznia 1949 r.

Jan Maria Gisges — Puszcza Emeryka. **Jan Aleksander Król** — „Chłopek z Lubelskiego“ (o Karolu Namysłowskim). **Tadeusz Chróścielewski** — Droga do sławy (uwagi nad okresem rosyjskim biografii Mickiewicza). **Jerzy Walenczyk** — Wiersze — Droga, *** **Włodzimierz Lenin** — Ze „Szkicu w kwestii rolnej“. **Wiesław Jażdżyński** — Rozmowy z agronomami. **Jerzy Cios** — Na kongresie ZZLP. **Stanisław Piętak** — Etap. **Stanisław Orzeł** — Dzieciństwo. **Jan Jelonek** — „Grypsiarze“ to też pisarze (Głos czytelnika). **Genowefa Szturchaniec** — „Skamander“ redivivus? **Józef Piątek** — Na drodze do poezji politycznej. **Piotr Pigwa** — Organizacja kultury w Tiutiurlistanie. Fakty i zdania. **29** ilustracji; Stron 12.

Julian Lewański

RĘKA BOGA OJCA*)



Wojciech Żukrowski

Czy książka Żukrowskiego zbliża naszą literaturę ku realizmowi socjalistycznemu? Czy jak wynika z tytułu, szerzy katolicki fideizm, zaciemnia właściwe przyczyny i skutki ludzkich postępków? Pisarz pozbył się ciemnego psychologizmu, czy dał składankę naturalistycznych obrazków? —Mógłbym tak mnożyć, Obywatelu Redaktorze, pytania, których ważną listę zestawimy bez trudu po styczniowej rewizji polskiej literatury i porównaniu jej z wzorami literatury radzieckiej. Ale nie chciałbym pisać poetyki normatywnej. Złożyłem trochę uwag o autorze, który jest czytywany w pewnych środowiskach, który był dotąd daleki od problematyki polskiej drogi do socjalizmu. Problematyki, którą podjął nawet w swojej a-intelektualnej poezji Gałczyński. Nie szukam więc zgodności z normami, a — czytam i notuję uwagi.

J. L.

Czytelnik ma zwyczaj i ma prawo pytać: o czym jest ta a ta książka? Pyta więc księgarza, pyta bibliotekarza — w sposób żenująco prosty, zarazem stanowczy. Ostatecznie przecież czytelnik jest instancją najwyższą! A jeżeli w odpowiedzi równie prostej jak pytanie nie potrafimy książki pomieścić — oznacza to potrzebę komentarza, potrzebę obszernej noty krytycznej lub autorskiej. Oznacza więc jakiś **niedostatek.**

Poddajemy próbie tego pytania książkę Żukrowskiego. Odpowiadamy najprościej: książka jest o dniach małej rewolucji, łagodnej rewolucji i ogromnej rewolucji psychicznej piętnastego i szesnastego stycznia 1945 roku na ziemiach Polski. — Studium? — opowiadanie? — obrazki? — Nie, właśnie powieść! To brzmi dzisiaj bardzo poważnie, oznacza dla wielu autorów miejsce na Parnasie. Prawdziwa powieść i to w dodatku nie piła historyczna, w której autor żerowałby na naszym szacunku dla przeszłości, ani gmatwanina psychologiczna. „Ręka Ojca“ to pierwsza powieść Żukrowskiego, zarazem piąta książka młodego pisarza na przestrzeni trzech lat. Księgarz powie więcej: „Czytelnik“ wydał „Z kraju milczenia“ trzy razy, prywatny nakładca (Kamiński) w Krakowie „Porwanie w Tiutiurlistanie“ dwa, „Piórkiem flaminga“ (AWIR w Katowicach) też dwa razy; Oddział Katowicki ZZLP wydał „Arkusz poetycki“ — w tym rachunku ostatnia powieść jest dziewiątą pozycją, nawet dziesiątą, bo przeszła druk odcinkami w „Odrodzeniu“. Ale nie reklamujmy jej zbyt wcześnie — próba kilku pytań wykaże, że książka jest zjawiskiem złożonym i nie tak łatwo będzie wskazać półkę biblioteczną, na której trzeba ją postawić. Oglądamy więc najprzód bohaterów i ich losy w ciągu 48 godzin. Zamek w okolicy Krakowa, zapewne w Ojcowie, służy za scenę. Przypadkowy właściciel budowli (nie spadkobierca magnackich tradycji, sędzia, „inteligent“) przeżywa przykry moment niechęci i wstrętu do swego okupacyjnego życia — między gabinetem, parkiem, sypialnią żony, decyduje się na ucieczkę, jak się tylko front przewali. Już następnego dnia rzeczywiście wyjeżdża, ale z tobołkami, z córkami i żoną. Los zadrwił z niego, on sam jest spokojny, trochę filozofuje. Wykształcenie dało mu pewność siebie, milicja ludowa zajęła jego zameczek — pozornie bezprawnie — ale „rewolucja“ po jakimś czasie przyjdzie do niego po legalizację. Sędzia wie o tym. Nowy porządek będzie potrzebował inteligentów. Nie może zrozumieć swojego „nieszczęścia“ żona sędziego, Janina. Była mądra i władcza między kuchnią a pokojem dziecinnym, ale na taborowym wozie radzieckim, który wiezie ich do miasta, jest tylko zapłakaną, rozgoryczoną kobietą.

Z warszawskiego powstania trafił na naszą scenkę młody AK-owiec, Tadeusz. Pomagał dostarczać żywność dla radzieckich spadochroniarzy i spotykał się z chłopcami z miejscowych batalionów AL. W dniu wkroczenia wojsk radzieckich melduje się do pracy, zostaje komendantem milicji na połowie powiatu. Obok Tadka widzimy Celinkę, młodą dziewczynę (też z „inteligentów“ chyba), która naturalnie chce bić Niemców, jest zaskoczona nakazem demobilizacji AK, nie godzi się bynajmniej z biegiem wydarzeń, ze znalezionym rewolwerem idzie konspirować dalej, chyba „do lasu“. Jest kierowniczka sierocińca, która znalazła na zamku pomieszczenie, jest ksiądz, Wacława — warszawianka, jednym słowem cała galeria mieszkańców zamku (Żukrowski starym i banalnym sposobem bohaterami powieści uczynił inteligentów), aż po Walercię z kuchni, wszyscy są zaskoczeni zmianami. „Od dawna przeczuwaliśmy zmianę, wiedzieliśmy, że przyjść musi...“ mówi Sedzia Tadeuszowi. Możemy sobie ułożyć taki mały dialog:

— Co robili dzielni Polacy? — Konspirowali. —

— Co jeszcze robili? — Przeczuwali! —

— Ale co myśleli? — ...

Niepodobna inaczej książki odczytać jak właśnie jako uderzenie w polski styl życia i postępowania. — Jeżeli pisywało się o sarmackości Żukrowskiego, to właśnie chyba dlatego, że bystrość obserwatora i doskonałe narzędzie literackie pozwala mu na świetne, prawdziwe oddanie tradycyjnych cech polskiego życia. Nie czytam z kart „Ręki Ojca“ oskarżenia ani społeczności, ani środowiska inteligenckiego. Ci „przeczuwający zmiany“ są malowani nawet z sympatią, obejmowani od czasu do czasu ramką komicznej sytuacji. Autor wstrzymał się od komentarza moralnego, od oceny — pozostawia ją czytelnikowi. Czy wolno było tak zrobić — sprawdzimy.

RGO pomieściło sieroty z Zamojszczyzny i z pogranicza na zamku pod opieką Łucji. Słychać już „front“, zapasy są na wyczerpaniu — Łucja decyduje się jechać w nocy do miasta po pieniądze; wracając zabiera dziewczynkę, która chce koniecznie zobaczyć matkę, odbywają ciężką, niebezpieczną drogę — znowu w nocy. Dziewczynka ginie od pocisku, Łucja obarcza swoje sumienie winą jej śmierci (trzeba to będzie w dodatku opowiedzieć matce), wraca do dzieci szczęśliwie. Jej wielka decyzja, poświęcenie, ofiara fizyczna i moralna zostały przekreślone: pieniądze przyniesione przez Łucję nie znaczą już nic, nikt ich nie przyjmuje. Sieroty nakarmią kuchnie radzieckiego wojska, milicja dostarczy słoniny i mąki.

Takie wydarzenie służy Żukrowskiemu do postawienia centralnego zagadnienia książki. Zagadnienia moralnego, rozwiązywanego według mechanizmu moralności katolickiej:

— „Wszystko, co nas spotyka, dzieje się dla naszego dobra. Często wydaje się, że los wydziera nam to, co mieliśmy najcenniejszego, najbliższego sercu. Zaufajmy tej Ręce, odbiera tylko to, co mogłoby nam przesłaniać cel ostateczny, daje wszystko, co będzie nam na drodze do zbawienia niezbędne“.

— Ksiądz pociesza Łucję:

„Bo to nieważne, czy pani przyniosła pieniądze, czy pani osiągnęła to, czego pani pragnęła. Ważna jest sama ofiara, a pani poświęciła siebie, kładła pani swoje życie za sprawę dzieci! Człowiek jest tylko tyle wart, ile jest gotów dać drugim, ile naprawdę im daje... Czy pani nie widzi Ręki litościwego Ojca, która i nad panią zwisa? Myślała pani zarozumiale, wszystko dla dzieci zrobię, ja sama, ja — Łucja! I nie przyniosła pani nic, ażeby je nasycić, a jednak mają dziś co jeść. I na dziś i na jutro. Upokorzono panią“.

Nauczyliśmy się nieufności do pewnych form życia religijnego, do kazań i przykładów. Weryfikujemy ich społeczną wartość. Wypadek Łucji ma posłużyć do krótkiego wykładu: można znaleźć metafizyczne formuły na rozwikłanie bezsensownych splotów zdarzeń; (bezsensownych — to znaczy takich, które nie chcą się mieścić w ciasnych formułkach sprawiedliwości, słuszności społecznej, psychologii wreszcie; ciasnych o tyle, że ciągle jeszcze prymitywnych w stosunku do złożonego mechanizmu życia. Tego mechanizmu, którego drobne części tylko potrafimy opisywać). Czy ktoś szuka tych metafizycznych rozwiązań, czy nie — to oczywiście jego prywatna sprawa, sprawa siły moralnej, odporności i wrażliwości. Czy zdanie kazania, że wszystko co nas spotyka — to dzieje się dla naszego dobra, jest zdaniem niebezpiecznym, sprzeciwia się postępowym dążeniom do perfekcjonizmu? — W kontekście książki omawianej Ręka litościwego Ojca ma tłumaczyć okrucieństwo życia, wyjaśniać tragiczne niespodzianki, chronić przed pesymizmem, przygnębieniem. Ocena: człowiek jest tyle wart, ile potrafi dać i daje innym — jest jako podstawa rachunku moralnego jasna, trafna i użyteczna. Ta fideistyczna koncepcja losu ludzkiego nie jest dydaktycznie nic warta, nie uczy bynajmniej logicznego ujmowania życia, nie ukazuje schematów praktycznie użytecznych ani nawet typowych — nie jest jednak groźna, ani szkodliwa jako propaganda pewnego stanowiska, choćby dlatego, że owa filozofia katolicka zarysowana jest słabo, tylko szkicowo. Nie sięgnie nawet do sąsiedniego pokoju, gdzie Sędzia z urzędu wyrokujący o moralności, modlący się z mszału (po francusku!) — planuje porzucenie żony i dzieci. Bez powodu, bez rachunku moralnego. Więcej: bez komentarza autorskiego. Ba, ten obrzędowy, liturgiczny katolik będzie jeszcze filozofem nowego czasu. Postawiony przez autora niemal za wzór.

Rozglądamy się za ludźmi, którzy w tej powieści nie przegapili kalendarza, widzieli czas nadchodzący w całej jego powadze i konsekwencji. Więc w zamku chyba tylko furman Jan, który pomaga ciągnąć wieprze dla spadochroniarzy, kilku chłopów we wsi, komendant okręgu AL — ledwo zaznaczeni i wspomniani przez autora. Wreszcie rzeka radzieckich żołnierzy. Jeniec ginący bohatersko, jakiś major i masa człapiących powoli, „nie był to krok zdobywców, ale spracowanych chłopów przemierzających zagony“. Ten marsz historii jest dla autora tak samo „nie do skomentowania“, jak pocisk, który zabił dziewczynkę.

Dlatego trzeba postawić pytanie zasadnicze: jak się układa stosunek opisywanych wydarzeń, problematyki o wielkości i wadze bardzo doniosłej — do warsztatu pisarza?

Warsztat znamy, jest doskonały w zakresie środków wyrazu poetyckiego, epicznego, wzorowy w wygładzeniu języka, czystej polszczyzny, warsztat bogaty w pomysły fabularne, najlepszy u nas w zakresie plastyki opisu. Do tego warsztatu puka rzeczywistość. Jest czas wielkiej próby: tak jak czas wojny dla każdego pojedyńczego człowieka był okresem wielkiego próbowania się moralnego, podobnie teraz nastały lata wielkiej próby intelektualnej i sumienia społecznego. Żukrowski nie wprowadza do swojej pierwszej powieści problematyki historycznej. Tych szkicowych wypowiedzi i naszkicowanych zaledwie osób nie można traktować poważnie. Dodajmy — problematyka katolicka jest także zaledwie zarysowana. Co najwyżej przez analogię („dzieją się wielkie wypadki, więc i ja w swojej książce wskażę wielkie wypadki“) wprowadzi kalendarz stycznia 1945 roku, zbuduje fabułę trochę tajemniczą (aby była ciekawsza) potrącająca tylko z imienia o przełom historyczny.

Skoro więc ukazaliśmy książkę jako: „obrazki przełomu“, albo może lepiej: „nasi w wielkich dniach stycznia“ — zapytamy wreszcie Żukrowskiego o legitymację — dlaczego to nie podjął tematu w literaturze ważnego i potrzebnego? Dlaczego nie pokazał punktu zerowego, od którego zaczęlibyśmy mierzyć i odbudowę, i postęp w myśleniu. Przypuszczam, że Żukrowski odpowiedziałby tak:

— „Widziałeś „Zakazane piosenki“? Od razu chcielibyście i Jałtę, i Skiwskiego, i naród wszelki. I żebym każdego opisał, jak się ożenił i jak śpiewali mu nad grobem — co musiało być w każdym polskim przedwojennym filmie“. Bez przesady powiedzieć można, że scenariusz książki Żukrowskiego jest i świetny, i gotowy do nagrywania. Wypadki dzieją się jednocześnie w kilku miejscach, w czterech pierwszych obrazach (książka nie ma rozdziałów) autor wprowadza 14 osób. Ekspozycje krótkie i nie nużące pozwalają nam nieomylnie rozróżnić te 14 osób w akcjach: to już nie tekst scenariusza, ale umiejętność epicka. Czas narracji i czas wydarzeń układane są na 200 stronach o włos od siebie, nie dopuszczają żadnej nudy, zwłoki, gadatliwości. Czas jest tak posłusznym narzędziem w ręku pisarza, jest tak wspaniale zorganizowany i tak posłuszny celom fabuły, że z trudem szukamy podobnej dokładności warsztatu u innego pisarza współczesnego. Opisy dokonane są ze znaną i już nieco przechwaloną siłą poetycką. Mowa bohaterów, która jeszcze w „Z kraju milczenia“ była jednaka u wszystkich (kiedy to Żukrowski każdemu bohaterowi kazał być poetą i używać języka „żukrowskiego“) — jest zindywidualizowana, charakterystyczna dla środowiska. Dodajmy jeszcze, że krótkość wypowiedzi (scenka w kuchni: każda wypowiedź jest skomentowana — syknęła, bryznęła, parsknęła itd.) — ma tu oczywistą zaletę, a zbierzemy obserwacje formalne na określenie, że „Ręka Ojca“ jest powieścią nowoczesną dzięki „filmowemu“ charakterowi, może nawet oryginalną zdobyczą, wartościową próbą nowej epiki; może jest to odnowienie starego schematu powieści, która jednak przestanie być epopeją mieszczańską?

*) Wojciech Żukrowski: „Ręka Ojca“, Katowice 1948. AWIR.

Jan Maria Gisges

Świętokrzyskim chałupnikom

O GARNCARZU Z IŁŻY

**Deska jak smuga jasna księżyca wystarcza,
aby koloryt izby przypominał młodość
i trud dłoni czerwonych od gliny i wody,
który przeszłość spokojną ciężarem obarcza.**

**Stopa bosa jak gdyby szukając przygody
przyśpiesza szybkość krążka, tak że dłoń wykańcza
linię i wdzięk, a głowa nad tworzywem starcza
podobna jest obrazom słonecznej pogody.**

**W prostym rysunku garncarz jest tylko kreskami,
lecz jego palce, gdy krąg szalony wiruje
są ruchami tworzenia jak radość poznane —**

**i kształty brył skończone, które pająk snuje
są wówczas wszędzie w chacie barwnymi freskami.
Garncarzu! Twoje dłonie tym wierszem całuję.**

ODWIEDZINY

**Czas tu nie ma imienia. Poznasz to po kurzu
spoczywającym wszędzie w niewielkiej komorze,
gdzie wpadający promień z ciemności wyorze
fragment nogi lub sukni o kolorze różu.**

**Wojna tu nie zajrzała oczami wyłomów,
więc stali szeregami jaśni niby gryka —
powstali z liści szelestu i ostrza kozika
świątkowie nieudolni — śmieszne duszki domu —**

**Przez zim długie wieczory jak dziś po robocie,
kiedy lampa jak uśmiech rozświetlała mroki,
na drewnach surowych pozostawiał smugi —**

**stary rzeźbiarz wioskowy, który wierzył cnocie —
w ręce płomień trzymając — mistrz chłopskiej epoki —
w jednej rzeźbie umierał, by odrodzić się w drugiej.**

KROSNA

**Jak baśń opowiedziana ustami babuni
są belki pułapu wiekiem okopcone,
pod którymi jak morze palce snówki szumią,
rozlewając barwy w osnowie bielonej,**

**przylegając do wełny spalonej pożogą
czerwieni jak obłoki, poprzez które czółno
przeleci błyskawicą, zaś twarz dziecka z trwogą
krąży na tle kilimu — nowiu drogą wspólną.**

**Czerwienią usypiały matki niemowlęta,
bo to był kolor krwi i kolor wojny
jak gniew, co tryśnie pociskiem — pod okiem poczętym —**

**Dziś to jest kolor w hucie zmiażdżonego ognia,
rozpięty na krosnach jak odblask, co liże
czarne plecy palacza, który stał się spiżem.**

Witold Jedlicki

(Wznawiamy dyskusję)*

Ani filozofia, ani medycyna!**)

(Głos pierwszy)

Popularyzacja wiedzy medycznej jest niewątpliwie zagadnieniem społecznym doniosłej wagi. Wysiłki jej idą przede wszystkim w dwóch kierunkach: w celu przekonania chorego o konieczności leczenia się, oraz w celu przekonania go o wyłącznej skuteczności leczenia racjonalnego, opartego na wszystkich dotychczasowych osiągnięciach naukowych z pominięciem wszelkich środków irracjonalnych czy znachorskich. Akcja ta z całą pewnością posiada wiele złych stron: niewątpliwie nie obejmuje jeszcze najszerszych kręgów społeczeństwa, nie paraliżuje jeszcze całkowicie wpływów kleru, propagującego jako ostateczne i uniwersalne lekarstwo, pielgrzymkę do któregoś z cudownych obrazów Matki Boskiej, nie zdjęła jeszcze piętna hańby, ciążącego na chorym wenerycznie, co najważniejsze zaś. nie zdołała zlikwidować praktyki znachorów i uzdrawiaczy wszelakiego autoramentu. czego dowodem było ostatnio kilka procesów szewców i ogrodników, wykonujących praktykę lekarską.

W takiej chwili. w chwili olbrzymiego nacisku, położonego przez państwo i istytucje społeczne na racjonalizację lecznictwa, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa w Krakowie ukazuje się książka Władysława Szumowskiego pt. „**Filozofia medycyny**". Wywody całej książki reasumuje autor w zakończeniu, formułując trzy sprzeczności, z jakimi rzekomo współczesna medycyna nie może sobie dać rady. Te sprzeczności są to: 1. antynomia (sprzeczność) pomiędzy terapią kliniczną, odrzucającą metody nienaukowe, a uzdrowieniem przez znachorów, które, aczkolwiek nienaukowe, bywa bardzo skuteczne (?). 2. Antynomia pomiędzy współczesną fizjologią, odrzucającą istnienie magnetyzmu biologicznego, a faktami, które jedynie przy pomocy hipotezy magnetyzmu biologicznego dadzą się wytłumaczyć, wreszcie 3. antynomia pomiędzy metapsychiką, a nauką oficjalną, odrzucającą fakty nadprzyrodzone. W dalszym ciągu Szumowski streszcza zreferowane już w toku książki poglądy czołowego przedstawiciela wiedzy okultystycznej i magnetyzerskiej okresu pozytywizmu w Polsce, Ochorowicza i jego oponenta Cybulskiego, po czym konkluduje: „Cybulski Ochorowiczowi nie ufał. Niesłusznie zarzucał mu nieuczciwość. Poglądów jego nigdy nie zrozumiał. Gdyby dłużej żył i gdyby spotkał na swojej drodze medium uczciwe prawdopodobnie, jako wnikliwy badacz, nagle by uwierzył, jak wielu innych i stałby się zwolennikiem metapsychiki". Sądzę, że te zdania można potraktować już jako credo ze strony autora, jako gotowy projekt rozwiązania antynomii na niekorzyść tzw. oficjalnej nauki. Zachodzi nawet wątpliwość, po co w takim razie antynomię tę się formułowało, i to formułowało tak ostrożnie, z pełnym poszanowaniem i oddaniem należnego jej miejsca w medycynie naukowej. Ale nie tylko w tym miejscu sugeruje autor głęboki kryzys, jakiemu jakoby podlegała współczesna medycyna naukowa i w związku z tym kryzysem konieczność przejścia do pozanaukowych metod leczenia. Już sam fakt. że Szumowski poświęca 12 stron książki naukowemu obliczu medycyny, 11 stron — mniej naukowemu obliczu (homeopatia, medycyna biologiczna, medycyna neohipokratyczna, leczenie za pomocą intuicji lekarza). natomiast 52 strony obliczu medycyny nienaukowemu (leczenie znachorskie) świadczy co najmniej o tym, że autor nie ma zaufania do terapii klinicznej. Ale przypatrzmy się, jak autor ocenia te „oblicza": „Tak przedstawia się dzisiaj oblicze medycyny naukowe. Jest ono piękne, ponętne, idealne. W jego rysach nie widzimy nic więcej, prócz wymagań ścisłej metodologii naukowej. Ale nauka nie wszędzie jest jednakowo ścisła. Prócz ścisłej nauki bywają jeszcze w dziejach — powiedzą jedni — przebłyski intuicji, powiedzą inni — argumenty uczuciowe, powiedzą jeszcze inni — półświadome omyłki. Rozpatrzmy więc najważniejsze kierunki medycyny — mniej naukowej". I dalej: „Jeżeli na tych kartach w dalszym ciągu wykazywać będę, że medycyna materialna nie wyczerpuje wszystkich czynników, jakie wchodzą w rachubę przy uzdrawianiu chorego, to nie dlatego, żebym bodaj w najmniejszym stopniu te czynniki chciał lekceważyć, lecz dlatego, że jednak niewątpliwie mogą tu wchodzić w rachubę inne jeszcze czynniki, do których trudno jest podejść w pracowni eksperymentalnej i o których dlatego w ogóle się nie mówi, albo się mówi z lekceważeniem. Jednakże lekarz - praktyk nie może lekceważyć żadnej drogi, która mogłaby prowadzić do uzdrowienia chorego". A całe przecież to „oblicze medycyny nienaukowe" polega w rezultacie na fakcie wiadomym i oczywistym, że stan psychiczny chorego decyduje w znacznym stopniu o jego wyzdrowieniu. który to fakt Szumowski próbuje w niesamowity sposób zaciemnić, aby móc pisać panegiryki o szalbierzach, leczących za pomocą ciężarka, czy dotknięcia ręki.

Na tym się jednak nie kończy światopoglądowa strona wynurzeń autora. Poświęca on bowiem wiele miejsca materializmowi — doktrynie, na której (wg. autora) opierała się cała naukowa medycyna drugiej połowy XIX stulecia i której błędność doprowadziła do (naukowego) kryzysu tej medycyny. Wspominając swoje czasy studenckie, autor twierdzi, iż był zagorzałym materialistą do chwili, gdy w lwowskiej szkole filozoficznej u Twardowskiego nie zetknął się z filozofią ścisłą, która go przekonała o całkowitej błędności materializmu i o tym, że materializm służy jedynie do zaspokojenia wolnomyślnych porywów młodzieży gimnazjalnej. „Materializm — pisze Szumowski — w całości wzięty, jest doktryną błędną; skrajne jego tezy wymagają znacznego złagodzenia i uzupełnienia". Przeciwko materializmowi przytacza autor obfitą argumentację, której nie będę omawiać szczegółowo, lecz o której muszę stwierdzić, że: 1. jest wycelowana wyłącznie przeciwko tzw. wulgarnemu materializmowi typu Büchnera, Vogta czy Moleschotta; 2. autor fałszywie interpretuje nowe osiągnięcia współczesnej fizyki, dotyczące badań nad strukturą materii w ten sposób, że podaje w wątpliwość jej istnienie; 3. autor przyjmuje apriorycznie, że materia jest wytworem umysłu, a nie umysł wytworem materii i, nie widząc potrzeby uzasadniania tej tezy, traktuje ją jako argument wymierzony przeciwko materializmowi; 4. opiera się na hipotezie niepodzielności atomu, dawno przezwyciężonej we współczesnej fizyce; 5. traktuje teorię atomistyczną (jak zresztą również cały materializm?!) jako hipotezę roboczą, przyjętą w celach pragmatystycznych; 6. insynuuje materializmowi jakąś „dogmatyczność"; 7. uważa dane metapsychiki za fakty nie mieszczące się w ramach doktryny materialistycznej, a na poparcie ich przytacza nazwiska wielu wybitnych uczonych, o których mówi, że w każdym razie nie mógłby zdobyć się na tyle śmiałości i zarozumiałości, żeby zlekceważyć ich zdanie. Warto się przy tej okazji zatrzymać nad niektórymi przynajmniej spośród podanych przez autora nazwisk czołowych zwolenników metapsychiki. Będzie więc tam obok twórcy metapsychiki Richeta, Hans Driesch, twórca metafizycznej teorii entelechii, substancji nadających życie organizmowi, i Henri Bergson, słynny twórca tezy o posługiwaniu się intuicją, jako najdoskonalszym środkiem poznania, będącym w dyspozycji człowieka, i William James, czołowy przedstawiciel doktryny pragmatystycznej, utożsamiającej prawdę z korzyścią, wreszcie Alexis Carrel, przedstawiciel skrajnego agnostycyzmu i ideolog powrotu do średniowiecza. Zresztą są jeszcze autorytety innego rodzaju. W pewnym miejscu Szumowski pisze dosłownie: „Udzielał też swego poparcia metapsychice marszałek Piłsudski ,który miał osobiste przeżycia w tym zakresie i który zarzucał psychiatrom warszawkim, że ich medycyna jest jednostronna i że mają zamknięte oczy na całe olbrzymie zasięgi ducha ludzkiego".

Wszytkie te rozważania autora, całe to obalenie materializmu, przeprowadzone jest chyba w celu wyciągnięcia ostatecznej konkluzji następującej: „Nazwa najodpowiedniejsza dla stanowiska filozoficznego, jakie winien zająć nowoczesny lekarz myślący, jest na razie chyba — agnostycyzm. Nie wiem! Czy jutro się dowiem, także nie wiem. Materialistom się zdawało, że już wszystko wiedzą. Jednak nauka szerzej ujęta, wykazała, że się mylą. Nie wiemy wszystkiego". I dalej: „Równocześnie stwierdzić trzeba, że dzisiaj, z upadkiem materializmu, w poszukiwaniu innego oparcia, coraz częściej widuje się lekarzy w Świątyniach Pańskich, gdzie jedni szukają drogowskazu, inni — rozwiązania zagadki".

Chyba dość dla wykazania całkowitej bezwartościowości tej książki z punktu widzenia wiedzy filozoficznej. Ale nie koniec na tym. Istotne jest również to, że pod szyld „Filozofia medycyny" — dyscypliny, która przy odpowiedniej interpretacji znaczeniowej ma niewątpliwie rację bytu wśród nauk — pakuje się pseudonaukowe rozważania o określonym, reakcyjnym sensie społecznym i politycznym, rozważania, które propagują pewną postawę życiową, polegającą na sceptycznym ustosunkowaniu się do wszystkiego, co racjonalne i oparciu się — tu już bez żadnego sceptycyzmu — o sutannę księdza i odważniki szarlatana. Dlatego też książka Szumowskiego obok swojej bzdurności jest niesłychanie niebezpieczna i szkodliwa społecznie, a fakt, że wydano ją w roku 1948 może stanowić jedynie empiryczny dowód słuszności tezy prezydenta Bieruta o oportunizmie naszej dotychczasowej polityki kulturalnej.

*) Patrz artykuły: M. Kacprzak: „Pilna sprawa", „Wieś nr 44, r. 1947; St. Lewicki: „Społeczna służba zdrowia", „Wieś" nr 46, r. 1947; M. Czuła, A. Jakubowski: „Zdrowie na wsi", „Wieś" nr 48, r. 1947; J. Nofer: „Choroby — lecznictwo — metody", „Wieś" nr 2, r. 1948; H. Kowarzyk: „O społecznej postawie medycyny", „Wieś" nr 40-41, r. 1948.

**) Władysław Szumowski: „Filozofia medycyny", Gebethner i Wolff, Kraków, 1948 r.

Jan Aleksander Król

Ale rodowód jasny...

(Głos drugi)

Książka Wł. Szumowskiego stanowi CURIOSUM. Od tego należałoby zacząć. Autor zapisał medycynę pod znak filozofii idealistycznej. Z jakiej to daty zapis? Ze schyłku w. XIX, początku XX. I na tym polega curiosum tej książki. Bergson w tej książce to nie duch przeszłości, przywołany dla skompletowania tradycji idealizmu intuicyjnego. To dla Szumowskiego akurat współczesność, świeża, żywa i... niezmienna. Staruszek filozofuje kategoriami popozytywistycznymi. Zaczyna się dla niego sprawa od... Ochorowicza. Kiedyś na serio szło mu o „materializm" pozytywistów. Krzywicki przezwyciężył go ku socjalizmowi, Szumowski ku nacjonalizmowi. My tu mówimy po imieniu o ideologiach, poza którymi rozegrał się dramat walki klasowej. Klęska w r. 1905 proletariatu, wygrana burżuazji. Przez cały prawie w. XIX, pisze Szumowski (i w „Filozofii medycyny" i „Historii medycyny), panował materializm. Dopiero u schyłku stulecia zaczął się „odwrót od materializmu". Czyjże on był? Mieszczaństwa liberalnego, narzędzia rozwijającego się optymistycznie kapitalizmu. I znikł pod koniec wieku, kiedy znikł optymizm liberałów. Chamberlain i Krupp to zwiastuny kapitalizmu IMPERIALNEGO. Na bliższym nam horyzoncie idealizm intuicyjny przejmuje burżuazja i ziemiaństwo, wykonując w kraju półkolonialnym funkcje mandatariuszy inwazyjnego imperializmu. Materializmu — niepozytywistycznego — marksowskiego broni wówczas proletariat. A jeszcze po latach stwierdza Szumowski z satysfakcją „odwrót od materializmu" u końca XIX w.

To nie są wywody człowieka współczesnego. Zadziwiające, ale prawdziwe stężenie umysłowości w tamtej epoce, w jej nacjonalistycznym nurcie.

Rok temu pisałem o doktorze Starkiewiczu. Legenda wskazywała na niego, jako na pierwowzór bohatera „Ludzi Bezdomnych" — Judyma. Tak nie było. Dr Starkiewicz kończył studia medyczne, kiedy ukazała się powieść Żeromskiego (w 1901 r.). Raczej bohater powieściowy oddziałał na młodego lekarza. Ale na pewno najsilniej oddziałać musiała sama medycyna. Jej filozofia, jej praktyka naukowa, jej technika i charakter funkcji społecznej. Szumowskiego agnostycyzm i intuicjonizm (pozanaukowy) stąd się wywodzi. Profesorem dr Starkiewicza był Biegański. Chciał „harmonizować" z Chałubińskim, o którym Prus pisał krótko: „nauki on nie stworzył". „Nie mówił Chałubiński o LEKARSTWACH NA CHOROBĘ ale — o lekarstwach przeciw SZKODLIWOŚCIOM CHOROBOWYM" (Biernacki 1900 r.) Chałubiński pierwszy przestał stawać oko w oko z chorobą. Stanął wobec chorego i JEGO CIERPIENIA, jako najwyższej szkodliwości. Niósł „pomoc duchową", „opiekę nad chorym" i na tej drodze „zmniejszenie cierpienia" — ale NIE ZWALCZENIE CHOROBY. Nie miał w tej akcji czasu na naukę. W okresie swej długiej praktyki wyminął całą epokę w medycynie, istotny jej postęp, osiągnięty w kierunku tzw. leczenia LOKALNEGO. Biegański odziedziczył ten niedorozwój krajowej medycyny, a bardziej jeszcze przejął po Chałubińskim tradycję medycyny-sztuki, nie — nauki. Rozwinął „filantropię lekarską", „szarlatanerię czułostkowości", jako ZASTĘPCZE leczenie PSYCHICZNE CHORÓB NIE PSYCHICZNYCH!

Możnaby nas tu spytać — a dlaczego?

Chałubiński odkrył Tatry i górali, jako zjawisko klimatyczne i etnograficzne. W polskim niedorozwoju kapitalizmu, przy medycynie w powijakach, w „nędzy Galicji", której dowodził cyframi Szczepański — Tatry i górale stały się dla lekarza wybawieniem. Klimat, jako najtańsze lekarstwo, lud jako objawienie naturalnego zdrowia i krzepy. Klimat, jak wiemy, został poddany eksploatacji kapitalistycznej, górale podlegali jej już wcześniej: „Góralu czy ci nie żal opuszczać stron ojczystych?" — tak pytał w piosence Bałucki. To był rezultat widzenia ludu, jaki podał Chałubiński do wierzenia. I mimo, że góral odpowiadał — dla chleba panie, dla chleba, piosenka wzywała: wracaj do hal! Prawdą było to, że lud zdrowia nie miał i nie mógł mieć. Chałubiński nie tylko zrezygnował ze zwalczania choroby, ale ten „kajający się szlachcic" jeden z pierwszych w zachwycie dla ludu zagubił SPOŁECZNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ funkcji medycyny. To było przedwiośnie po-pozytywistycznego nacjonalizmu. Po raz drugi zagubił ją Biegański w ćwierć wieku później, po roku 1905, kiedy sens drogi Piłsudskiego i Dmowskiego był już na dobre ten sam. Trzeba przypomnieć sobie Judyma, kiedy wraca z Paryża i przywozi nową prawdę: ZMIANY W TECHNICE MEDYCYNY WYMAGAJĄ ZMIAN W STOSUNKACH SPOŁECZNYCH! A technika postąpiła hu higienie, jej hasło to: stwarzać SPOŁECZNIE POWSZECHNE WARUNKI, uniemożliwiające powstanie i szerzenie się choroby. A Biegański nie odstępuje od „filantropii lekarza", od leczenia INDYWIDUALNIE CHORYCH. Co to znaczy? Znaczy to, że nie przyjmuje nowej techniki medycyny, postępu jej sił wytwórczych, nie przyjmuje, aby w konsekwencji nie przyjąć hasła: ZMIAN W STOSUNKACH SPOŁECZNYCH! Dlatego ucieka do idealizmu. I jak perfidnie: „Dziwną jedność przedstawia ogólne życie umysłowe — pisał we wstępie „Zasad ogólnej metodologii nauk lekarskich" już w r. 1894 — wszak w końcu XIX wieku wszędzie: czy to w poezji, czy w sztuce, czy w filozofii sygnalizują pewien wyraźny zwrot ku IDEALIZMOWI. Poczęty w początkach bieżącego stulecia materializm i pozytywizm wraz z olbrzymim rozwojem nauk przyrodniczych zaczyna ludziom nie wystarczać, powstają pomału nowe ideały". Lenin dowiódł, że w tym czasie kapitalizm sięga swej fazy IMPERIALNEJ. Mieszczaństwo liberalne i inteligencja popadają w niepokój. Nowe ideały to przyznanie się do — NIE POJMUJĘ, NIE ROZUMIEM! Do agnostycyzmu i intuicyjnego, irracjonalnego wyczuwania rzeczywistości po omacku, na wiarę. Ta stracona równowaga oddaje inteligencję na łup klas panujących i wyzyskujących. Czyni z niej, często niezupełnie świadomego, sojusznika burżuazji w okresie jej zdrady narodowej, w okresie jej zgody na KOLONIALNY los mas ludowych w kraju, w okresie jej współudziału w utrwalaniu tego losu. W 1909 r. Biegański głosi, że medycyna jest „jedną z najmłodszych nauk, ale ZA TO JEDNĄ Z NAJSTARSZYCH SZTUK". I nadrabia „leczeniem psychicznym", „szarlatanerią czułostkowości" a równocześnie sypie frazesami idealistycznymi: „wierzę, że przyjdzie czas, kiedy między ludźmi nie będzie walki o byt...", że przepiękna myśl chrześcijańskiej miłości bliźniego nie pozostanie słowem... wierzę w postęp etyczny ludzkości".

Postęp etyczny lekarza, którego moralność pozwala na ZNIEPRAWIENIE medycyny. Na rozbicie jej jako nauki, podległej rygorom racjonalnym i empirycznym. Na zdradę nauki i cofnięcie jej do rzędu „najstarszych sztuk" — magii. Na rezygnację z walki z chorobą na rzecz obłudnego kojenia cierpień nieuleczalnych. I lekarz wierzy, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie walki o byt między ludźmi. Tak piękna przyszłość zwalnia go od pomocy w walce o byt z przyrodą. W walce o byt z WARUNKAMI SPOŁECZNYMI, które mnożą KLASOWE CHOROBY. „Chrześcijańska miłość bliźniego" pozostaje w jego ustach zwrotem, osłaniającym BURŻUAZYJNĄ W PRAKTYCE POSTAWĘ LEKARZA WOBEC MAS LUDOWYCH. Na dziś sztuka zamiast nauki, a na daleką przyszłość wiara w ewangeliczną miłość owczarni ludzkiej. Na ówczesne dziś potrzebna była nauka medycyny i społeczna solidarność z proletariatem, aby obalony został ustrój, który wytwarza walkę między ludźmi o byt i potęguje ją do apokaliptycznych rozmiarów.

Jakże straszliwą kliszą tamtych wczesno-endeckich czasów jest książka Szumowskiego. „DZISIAJ, Z UPADKIEM MATERIALIZMU (??) w poszukiwaniu innego oparcia coraz częściej widuje się lekarzy w Świątyniach Pańskich, gdzie jedni szukają DROGOWSKAZU, inni ROZWIĄZANIA ZAGADKI“.

To się nazywa być głuchym, jak pień. Rewolucja, reformy, Ludowa Demokracja, marsz do socjalizmu, a dziadzio powiada: „dzisiaj, z upadkiem materializmu“... Pomieszały się i czasy i klasy, na rzecz których się działało. Budzimy Szanownego Autora, a raczej już nie jego — młodzież kującą do egzaminów i kolokwiów. Koledzy, Szanowny Autor zapomniał, że nie ma już burżuazji i ziemiaństwa, jak za czasów Biegańskiego, który słysząc Żeromskiego wymyślania (w roku 1907) pod adresem „klas przodujących“ o „ofiarność grosza“ o „obcięcie budżetu zbytków“ chciał skwapliwie uwierzyć, że to NA TEJ DRODZE „przepiękna myśl chrześcijańskiej miłości bliźniego nie pozostanie słowem“.

Biegański z nauki zrobił sztukę... magię. Szumowski wskrzesza nieboszczyka: w Świątyniach Pańskich — drogowskaz dla lekarza! I rozwiązanie zagadki współczesnej rzeczywistości społecznej? My to przecież dobrze znamy z pierwowzoru — Biegańskiego. Tylko, kiedy wówczas tak postępując stawało się przeciwko ludowi niekoniecznie dobrze i jasno wiedząc o tym, dziś powtórzenie tego błędu i winy na żadne nie może liczyć wytłumaczenie. Zmienione zostały stosunki społeczne. Techniki medycyny w jej rozwoju nic nie krępuje. A przede wszystkim nie krępuje podporządkowania kapitalistycznym dyrektywom, które wobec nieuchronnie postępującego USPOŁECZNIENIA techniki medycyny skazywały ją dotąd na „sztukę“ i „magię“ w walce z masami ludowymi.

Jan Aleksander Król

Józef Bieniek

Fot. Jerzy Chluski

Przyszłość gospodarcza ziem górskich





1.

Ziemie górskie w Polsce — poza kompleksem świętokrzyskim — zajmują przestrzeń znaczną, ciągnąc się wzdłuż całej granicy południowej, długą, blisko na tysiąc kilometrów kiszką, od Nysy Łużyckiej po San.

Drogi rozwoju gospodarczego tych ziem górskich planowane są w kilku etapach, przy czym każdy z nich stanowi swoiście złożony problem, którego rozwiązanie warunkuje przejście w etap następny — na wyższy szczebel doskonałości, jaki przewiduje szczyt konstrukcji planu gospodarczego, społecznego i kulturalnego dla ziem górskich.

Problemem pierwszym, zasadniczym, choć najtrudniejszym jest uporządkowanie struktury agrarnej i przebudowa ustroju rolnego. Nie ma bowiem mowy, aby w dotychczasowym układzie stosunków agrarnych, jakie ciążą nad ziemiami górskimi niby ponure przekleństwo, można było przeprowadzić szerszą i skuteczniejszą akcję zmierzającą do gospodarczego i kulturalnego podniesienia tych terenów. Weźmy dla przykładu powiat limanowski, charakterystyczny w mniejszym czy większym stopniu dla całego obszaru ziem górskich na południu Polski.

Liczy więc powiat limanowski obszaru 95.199 ha. Na grunty orne przypada z tej liczby tylko 38.728 ha. Obszaru tego nie da się żadnym sposobem powiększyć, gdyż wiekuiście głodny ziemi chłop uczynił już w tym kierunku wszystko, cokolwiek do zrobienia w tutejszych warunkach było, wykarczował podkarpackie olbrzymie połacie lasów i krzaków, wlazł na międzyleśne polany, skopał urwiska i strome zbocza, przekraczające 50% spadku, nie minął pługiem, a gdy się nie dało pługiem to rydlem, najmniejszego kawałeczka, który by mógł mu dać choć miarkę ziemniaków. Zajmując pod pług większość kultur łąkowo-pastwiskowych i leśnych, doszedł nawet tam, gdzie uprawa zbożowa nie ma najmniejszego sensu, gdzie zresztą samo dostanie się wymaga niemal taterniczych kwalifikacji — na zbocza i wierzchołki wzgórz, sięgające do 700 i więcej m nad poziom morza.

Toteż na dobrą sprawę w powiecie limanowskim co najmniej 25% uprawianej ziemi winno wrócić do swej właściwej roli — lasów, 40% należałoby zamienić na łąki, hale i pastwiska, a dopiero resztę posiadającą jakie takie kwalifikacje na glebę uprawną, poddać kulturom sadowniczym i zbożowo-okopowym.

Ogółem struktura gospodarcza tego powiatu przedstawia się następująco:

Obszar ogólny	95.199 ha
grunty orne	38.728 „
lasy	33.233 „
pastwiska i łąki	14.938 „
inne i nieużytki	8.300 „
Ilość gospodarstw:	
od 0 — 1 ha	9.233
1 — 2 ha	3.444
2 — 5 ha	5.748
5 — 10 ha	2.666
10 — 15 ha	855
15 — 25 ha	238
powyżej 25 ha	52

Ludności rolniczej liczy powiat 90 tysiecy, miejskiej 2.000.

W powyższym zestawieniu uderzają specjalnie ostro trzy fakty: 1) zbyt mało ziemi ornej w stosunku do całości obszaru, 2) przerażająco wielka ilość gospodarstw na tak małej przestrzeni życiowej i 3) jeszcze bardziej przerażająca ilość objektów od 0 do 2 ha, dla których nazwa gospodarstwo jest wielkim nieporozumieniem, a których właściciele są niczym innym jak tylko — przepraszam — dziadami. Problem to tym zawilszy, że owe 12.677 „gospodarstw“ musi wyżywić i utrzymać około 50 tysięcy ludności.

Jak tamto życie wygląda przy bardzo niskiej kulturze gospodarczej tych okolic, przy glebie jednej z najgorszych w kraju i przy zupełnym niemal braku przemysłu (8 zakładów, 698 pracowników) — łatwo sobie wyobrazić. Ale lepiej jeszcze widzieć.

Naukowcy i ekonomiści jak Wicksell, Poniatowski, Ludkiewicz i Grabski obliczali, że rozmieszczenie ludności rolniczej jest wtedy zdrowe, gdy nie przekracza na każde 100 ha użytków rolnych 40 osób pracujących w rolnictwie zawodowo. Każde wyższe zaludnienie stwarza w rolnictwie duże zasoby sił biernych, marnujących się i obciążających kosztami utrzymania warsztaty pracy. Obliczenia te dokonywane przed wojną nie brały pod uwagę aktualnych dziś momentów: pracy zespołowej w oparciu o zupełną mechanizację czynności. Po ich uwzględnieniu i tamta liczba jeszcze wydaje się za wysoką i jeśli ją zostawić dla ziem górskich to tylko dlatego, że ciężkie tu warunki terenowe mocno ograniczają możliwość użycia maszyn, na rzecz właśnie rąk ludzkich. Ale mimo wszystko jakże wobec tamtej teorii wygląda rzeczywistość tutejsza, gdy na 100 ha gleby ornej mieści się mniej więcej 300 osób, w tym 100 pracujących w rolnictwie zawodowo.

Chcąc zatem uzdrowić strukturę rolną tutejszego powiatu i wielu innych na całym Podkarpaciu, należałoby zlikwidować co najmniej 50% gospodarstw, a raczej... przesunąć z Podkarpacia 50% ludności rolniczej.

2.

Z możliwości, jakie przed wsią stanęły w wyniku Reformy Rolnej i odzyskania ziem na zachodzie nie skorzystały tereny górskie w stopniu, który by mocniej zaważył na ich rozwoju i losach. Dworów tu większych nie było, gdyż te nie miały zwyczaju sadowić się na jałowych zbyrkach, a nadmiernie przywiązany do swych uroczych zakątków chłop tutejszy niechętnie przenosił się na Z. O. Nierzadko zresztą, żyjąc w skrajnej nędzy nie miał za co, ani o czym wyjechać. Brakło też w tym wypadku takich organizatorów jak Olcha w Myślenickiem, który nie tylko pięknie gadał o potrzebie przesiedlania się, ale osobiście przygotowując całą akcję i sprężyście nią kierując wyrywał całe osiedla z kręgu nędzy na jasny obszar lepszej doli nadodrzańskiej.

Przeciętnie z każdego powiatu górskiego wyjechało na Ziemie Odzyskane od 2 do 5 tysięcy rodzin. Do miast, fabryk i zawodów z ziemią nie związanych przeniosło się mniej więcej od 100 do 500 osób i tyleż przeciętnie otrzymało wsparcie z funduszu ziemi po reformie rolnej. Tak szczupła skala ruchu odpływowego nie miała rzecz jasna mocy rozwiązać problemu przeludnienia, skoro tu w zdrowych stosunkach połowa ludności rolniczej winna znaleźć pracę poza wsią.

3.

Szereg powiatów górskich leżących między Dunajcem a Sanem otrzymało pewne możliwości odciążenia poprzez wysiedlenie ludności ukraińskiej. Powstał z tego tytułu duży zapas ziemi — kilkanaście tysięcy gospodarstw, które po części zajęte zostały przez miejscową biedotę, względnie jeszcze stoją pustką czekając na gospodarskie ręce.

Wysiedlenie pozwoliło na terenach tych stworzyć wzorowy ład agrarny, poprzez całkowitą przebudowę struktury rolnej. Zniwelowano więc stare granice karłowatych przeważnie gospodarstw i wycięto nowe obiekty hipoteczne — jednostki pełnorolne od 5 do 15 ha. Uwzględniając z miejsca koncepcje hodowlane ziemiom tym przeznaczone przeprowadzano działy ziemi tak, aby każde gospodarstwo nadawało się w połowie pod uprawę zbóż i okopowych, a w połowie dla kultur łąkowo-pastwiskowych. Wycięto również potężne kompleksy pastwiskowe, celem zorganizowania hal i bacówek. Tereny leżące wyżej strefy możliwości wyrostu traw, a zajęte nierozsądną gospodarką i głodem ziemi pod kultury rolne wyłączono z przydziałów osadniczych i przeznaczono pod zalesienie. Tak za jednym zamachem zlikwidowano na dużym obszarze ziem górskich szereg najbardziej zasadniczych bolączek, stwarzając pełne podstawy dla planowej rozbudowy gospodarki rolnej.



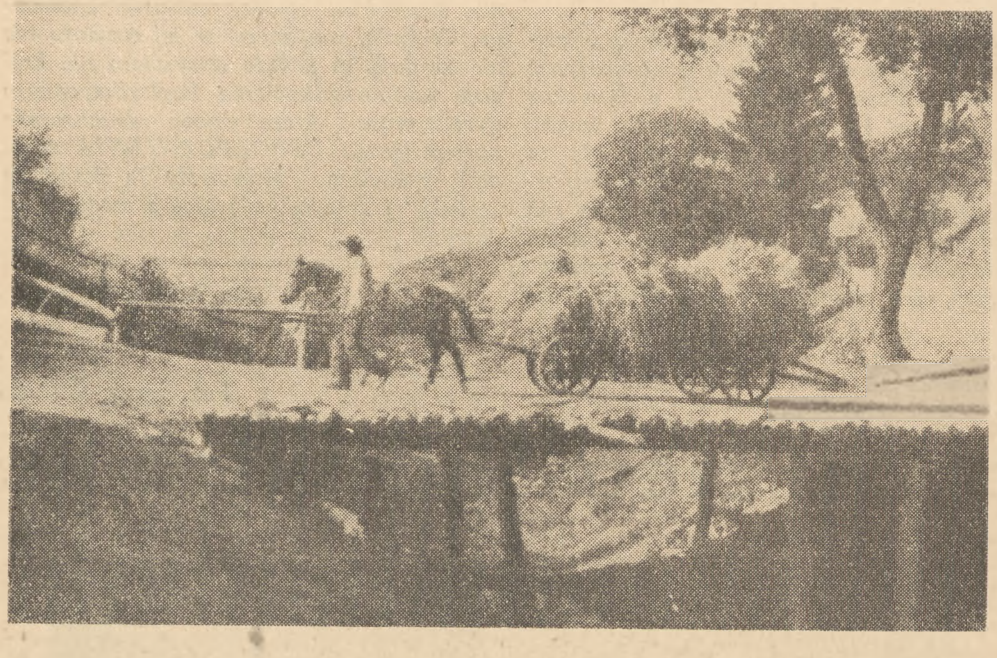
4.

Z uporządkowaniem struktury rolnej na ziemiach górskich wiąże się bezpośrednio sprawa komasacji. Załatwiana stopniowo na ziemiach poukraińskich i w kilkudziesięciu wioskach podkarpackich usprawniła ogromnie gospodarkę, dając olbrzymie oszczędności w czasie, inwentarzu i sile, których duży procent marnowali rolnicy i marnują nadal na rozjazdach ku poszczególnym cząściom gospodarstwa rozdrobionego na 10 i więcej kawałków, leżących w dodatku o kilka km jeden od drugiego.

Akcja scaleniowa napotyka jednak w górach na specjalne trudności wynikające ze specyficznej rzeźby terenu, dużej różnorodności gatunków gleby oraz skondensowanego zacofania i konserwatyzmu społecznego. Do najtrudniejszych wszakże problemów, o jakie potyka się komasacja, jest sprawa nadwyżek ludnościowych, względnie dużej ilości jedno- i dwumorgowych gospodarek. Aby komasacja miała właściwy sens gospodarczy i społeczny winna w wyniku pozostawić choćby z grubsza uregulowaną strukturę rolną, poprzez równoczesne wycięcie obiektów jako tako samowystarczalnych. Nie ma przecież najmniejszego sensu dokonywanie kosztownych prac scaleniowych po to tylko, aby znów tworzyć jedno i dwuhektarowe warsztaty nędzy, które zresztą za lat kilkanaście w wyniku kombinacji rodzinnych rozlazłyby się w piękną szachownicę, podzieloną tysiącem dróg, miedz i ścieżek.

Jest rzeczą oczywistą, że o komasację, mającą na celu tylko pozlepianie luźnych cząstek danego gospodarstwa, ani się ubiegać, ani tym bardziej świadczyć na nią nie warto, Nad sprawą tą głowiło się wielu głośnych ekonomistów i nie wymyśliło nic. Jest to zresztą z szeregu zagadnień światowych problem najbardziej skomplikowany i trudny, nie poddający się żadnym odgórnym, dekretowo-ustawowym regulacjom. Jedyną siłę zdolną węzeł ten rozsupłać posiada spółdzielczość: gospodarka zespołowa, kolektywna. Wnosząc swą ziemię do spółdzielni, bez względu na to gdzie jej poszczególne cząstki się znajdują i pracując w najbliższym sobie zespole, pozbyłby się chłop kłopotu z szachownicą raz na zawsze.

Jest rzeczą niewątpliwą, że zagadnienie to wcześniej czy później, mimo grasującego na wsi „kompleksu kołchoźnianego“ znajdzie realne zastosowanie i pozytywne konsekwencje. Jednak i tu sprawę komplikuje w stopniu niemałym sprawa przeludnienia. Przykładowo: Wieś M. w powiecie limanowskim, a jedna z wielu w szeregu powiatów górskich, ma 357 ha ziemi ornej. Na tym obszarze znajduje się 142 gospodarstwa i tyleż rodzin, liczących ogółem 824 osoby. Wieś M. leży w pięknej i rozłożystej dolinie. 70% jej ziemi nadaje się do uprawy maszynowej. Przy zastosowaniu pełnego kompletu maszyn całość prac rolniczych i gospodarczych potrafi lekko wykonać owe 42 rodziny. Racjonalnie



rozmieszczając i wykorzystując potencjał ludzki nie ma we wsi M. — i setkach jej podobnych — miejsca dla 100 rodzin.

I znów pytanie — co z nimi zrobić? Bo przecież jasnym jest, że spółdzielnia, aby mogła swą rolę ekonomiczną i społeczną dobrze wypełniać, musi być rentownym warsztatem produkcji, a nie instytucją charytatywną — jakimś przytułkiem utrzymującym z litości tysiące niepotrzebnych istot. Sprawę komplikuje do reszty brak na tych terenach potężnego przemysłu i na szeroką skalę rozwiniętych robót publicznych, do których można by nadwyżki owe przerzucić.

„Wieś“ potraktowała problem spółdzielczości produkcyjnej w rolnictwie jak należy. Może jeszcze nie tak szeroko jak należało, ale z sensem, po prostu i szczerze. Wszelako nad zagadnieniem tak zasadniczym i przełomowym winna i musi się rozwinąć dyskusja najszczersza i najwszechstronniejsza. Trzeba, aby w tej materii wypowiedzieli się najwybitniejsi znawcy przedmiotu tłumacząc rzetelnie, spokojnie i jasno zdezorientowanej wsi, co, gdzie, kiedy i jak. I trzeba żeby głos ich doszedł do najdalszych zakątków kraju rozcieńczając i rozładowując grube złoża uprzedzeń i urazów.

5.

Z powyższych, bardzo zresztą pobieżnych rozważań wynika, że trudności gospodarcze na ziemiach górskich występują z siłą nie znaną w reszcie kraju i w formach najbardziej ostrych.

Warunkiem rozwoju ziem górskich będzie przejście z gospodarki zwyczajowej i chaotycznej na racjonalną i planową. Przejście to, ze względu na duże odległości między tym co jest, a być powinno, będzie miało charakter niemal rewolucyjny. Mimo wszystko jednak dokonać się musi, a im wcześniej tym lepiej.

Z poprzednich rozważań wynika, że nowoczesna koncepcja produkcji rolniczej w absolutnym oparciu o maszyny tu ulec musi poważnym odchyleniom. Przeciętna ziem górskich nadających się dla pracy traktora czy wiązałki wahać się będzie od 30 do 60%. Reszta z konieczności pozostać musi na koncie rąk ludzkich, względnie przejść na rzecz **kultur łąkowo-pastwiskowych i sadowniczych**, a w najwyższych partiach — **leśnych.**

Rolą planistów górskich będzie objąć wszelkie elementy gospodarcze, istniejące i ewentualne i skonstruować dla każdego z nich taki schemat działania, który by uwzględniając prawa naturalne i istniejące możliwości stwarzał w danych okolicznościach warunki pracy, produkcyjności i dochodu społecznego i jednostkowego jak najbardziej opłacalne. Wszelką tradycję, choćby najpiękniejszą, jeśli tylko sprzeciwia się racjonalnym kierunkom myśli i czynu, jeśli opóźnia rozwój tych ziem, należy z całą bezwzględnością rozładowywać, dając miejsce nowym pojęciom, z których wyrosną nowe czyny i nowa rzeczywistość.

6.

Cztery są główne linie rozwoju ziem górskich: **hodowla, sadownictwo, rolnictwo i przemysł.** Właściwym jednak kierunkiem, który stanowił będzie o przydatności ekonomicznej tych ziem, jest hodowla. W całym pasie górskim istnieją idealnie pozytywne warunki dla wyrostu traw i koniczyny, przy zgoła negatywnych w odniesieniu do produkcji zbóż, a zwłaszcza zbóż ozimych. Uwzględniając ten moment gospodarka planowa przeznacza wszystkie powiaty górskie na stworzenie potężnej bazy hodowlanej, zdolnej dać krajowi rokrocznie tysiące ton mięsa, tłuszczu, mleka, skór, wełny itp.

Na odcinku tym działać będą również trzy sektory — państwowy, spółdzielczy i prywatny. Dla państwa i spółdzielczości istnieją już w tej chwili idealne możliwości zorganizowania potężnych ośrodków produkcji zwierzęcej na wspomnianych już terenach poukraińskich. Oto w szeregu powiatów, a specjalnie w sanockim, leskim i przemyskim w górskiej ich części, znajduje się szereg gmin i gromad bardzo słabo zasiedlonych. Osadnictwo rolne nie ma tu większych widoków powodzenia. Toteż należałoby tu raczej od razu realizować koncepcje hodowlane, zakładając wzorowe obiekty produkcji zwierzęcej, wykorzystując specjalne właściwości terenowe, glebowe i klimatyczne, nakazujące iść wybitnie w kierunku hodowlanym.

Obok hodowli sadownictwo mające na ziemiach górskich doskonałe warunki rozwoju stanowić będzie bogate złoża dochodów i stanie się kluczową pozycją awansu gospodarczego tych terenów. Sadownictwo w warunkach tutejszych iść winno dwiema drogami: jako olbrzymie sady samodzielne, zajmujące słoneczne zbocza górskie, o spadku silnym, nienadające się dla upraw zbożowych, oraz jako kompleksy piętrowe, czyli współrzędne. Gospodarka piętrowa polega na zakładaniu sadów w ornej ziemi i prowadzeniu równocześnie produkcji zbożowo-okopowej i sadowniczej. System ten wprowadzony dla próby w kilku miejscowościach Podhala jeszcze przed wojną, wykazuje duże plusy, stwarzając możliwości podwójnego wykorzystywania danego obszaru i zwielokrotnienia dochodów, co przy tutejszej ciasnocie obszarowej i społecznej jest specjalnie ważne.

Realizacją idei sadowniczych zajmują się specjalne instytucje, z których na czołowe miejsce wybija się Podhalańska Spółdzielnia Owocarska w Tymbarku i Spółdzielnia Ogrodniczo - Warzywnicza w Nowym Sączu. Mają one na swym koncie około **dwa miliony** wyprodukowanych i częściowo rozprowadzonych drzewek. Produkcja ta wzrastać będzie na całym obszarze ziem górskich tak długo, aż plan sadowniczy dla terenów tych przewidziany zostanie zrealizowany w całości, na co potrzeba około **20 milionów** sztuk drzewek.

Rolnictwo w warunkach górskich zejść musi siłą rzeczy na plan ostatni, nabierając charakteru raczej marginesowego. Z kierunków samej produkcji roślinnej na specjalną uwagę zasługuje **warzywnictwo.** Na terenach górskich znajdują się największe w kraju uzdrowiska i letniska, które ściągają rokrocznie setki tysięcy osób na leczenie, wczasy i obozy. Stwarza to olbrzymi popyt na jarzyny i warzywa. Aby pokryć zapotrzebowanie, sprowadza się tutaj tysiące ton warzyw z terenów nizinnych, mimo że jak ostatnie doświadczenia wykazały, przy umiejętnej uprawie w ciepłych i zacisznych dolinach międzygórskich warzywa udają się znakomicie. W szeregu gromad uprawa jarzyn prowadzona jest od dawien dawna, w innych warunki są również dobre, brak tylko „cebulowego zwyczaju“. Ponieważ opłacalność produkcji warzyw jest wielokrotnie wyższa niż zbożowa, trzeba owe „cebulowe zwyczaje“ upowszechniać, przekonując chłopa o wyższości gospodarki racjonalnej, produkującej nie wszystkiego po „ociupinie“ z myślą wyłącznie o własnej spiżarni, ale to, co się w danym terenie i wypadku najlepiej opłaci.

Dużo by na tym odcinku zdziałać mogły resztówki i majątki państwowe, prowadzone po linii właściwej. W przyszłej rejonizacji produkcji rolnej i gospodarce zespołowej należy moment jarzynowy uwzględnić szeroko koncentrując uprawę warzyw w regionach najbardziej po temu odpowiednich, wybierając na obiekty wzorcowe właśnie te miejscowości, gdzie „zwyczaje cebulowe“ mają dobrą tradycję i szeroką podbudowę.

Podobnie sprawa się przedstawia z uprawą roślin przemysłowych, jak len i konopie. Specjalnie dobrze na terenach górskich idzie len i ten rodzaj produkcji winien tu znaleźć swój maksymalny wymiar, czyniąc góry jednym z głównych terenów surowca dla przemysłu włókienniczego i olejarskiego. Jak wykazały obliczenia, dokonane z uprawą lnu w roku ubiegłym, dochód z 10 arów lnu równał się dochodowi z 50 arów owsa.



Charakterystyczną cechą roślinności górskiej jest obfite bogactwo wszelkiego autoramentu ziół leczniczych. Ich zbiór i przetwórstwo to znów osobny problem, którego racjonalne rozwiązanie przyniesie zdrowiu publicznemu olbrzymie korzyści a ziemiom tutejszym wysokie dochody. Ostatnio sprawa ta weszła w pierwszą fazę cząstkowego na razie rozwiązania, gdyż zespół spółdzielców w Tymbarku, z inż. Markiem na czele, bierze się do budowy spółdzielczej wytwórni leków ziołowych.

Również i pszczelarstwo ma w górach niezłe warunki rozwoju. Nabiorą one pełnej siły z chwilą realizacji postulatów hodowlanych i sadowniczych, gdy potężne połacie pól zarosną miododajną koniczyną, a na zboczach zakwitną lasy sadów.

7.

Omówione elementy działań gospodarczych, jakkolwiek niewątpliwie wpłyną bardzo dodatnio na rozwój tych ziem, nie byłyby jednak w stanie zlikwidować całkowicie najcięższej bolączki ziem górskich—przeludnienia. Kanałem jedynie zdolnym odprowadzić ze wsi nadmiar marnujących się rąk, siłą jedynie zdolną dźwignąć ziemie te do kulminacyjnego punktu dobrobytu i kultury będzie przemysł. Świetnym przykładem racjonalnego zagospodarowania obszarów górskich są nasze Ziemie Odzyskane, a zwłaszcza okolice Kłodzka, Wałbrzychu, Jeleniej i Kamiennej Góry, gdzie właśnie niemal co wieś znajduje się jakaś fabryka, kopalnia, zakład przemysłowy, czy choćby duży warsztat rzemieślniczy. To samo powstać musi u podnóża Tatr i Karpat. Tu równocześnie z rozwojem hodowli i sadownictwa, z umasowieniem produkcji warzyw i lnu powstawać musi potężny przemysł: przetwórnie owocarskie, mleczarskie i mięsne, fabryki octu owocowego, konserw mięsnych, owocowych i jarzynowych, rzeźnie, chłodnie, garbarnie, wytwórnie obuwia, artykułów białoskórniczych, fabryki kleju, roszarnie lnu, przędzalnie wełny, fabryki włókiennicze, olejów, pokostów itp. Złoża naftowe odkrywane coraz obficiej na całym Podkarpaciu stwarzają podstawę przemysłowi naftowemu, zaś potężne kompleksy skał i lasów przemysłowi kamieniarskiemu i drzewnemu.

Regulacja licznych rzek i potoków szalejących niemal co roku i wyrządzających olbrzymie szkody, odbudowa zniszczonych dróg i budowa nowych autostrad to znów podstawa dla zaistnienia potężnych robót publicznych i zatrudnienia dla tysięcy chłopów. Te rzeki uregulowane i zaprzęgnięte w służbę człowieka staną się dla ziem tutejszych wielkim źródłem dochodów.

Najcenniejszą wszakże rolę z punktu widzenia gospodarki ogólnopaństwowej odegrają ziemie górskie poprzez możliwość stworzenia na ich terenie **gigantycznych zakładów energetycznych.** Kompleks zapór — na Dunajcu, gotowa w Rożnowie, wykańczana w Czchowie oraz zaplanowane w Jazowsku i Czorsztynie — stanie się tanim dostawcą siły i światła dla tysięcy fabryk i zakładów przemysłowych, dla milionów domów i chat. Wobec takich perspektyw gaśnie żal za sadami w dolinie Łącka, które w ilości ćwierć miliona drzew zostaną zalane wodami zapory w Jazowsku, a które ludności miejscowej przynosiły olbrzymie zyski.

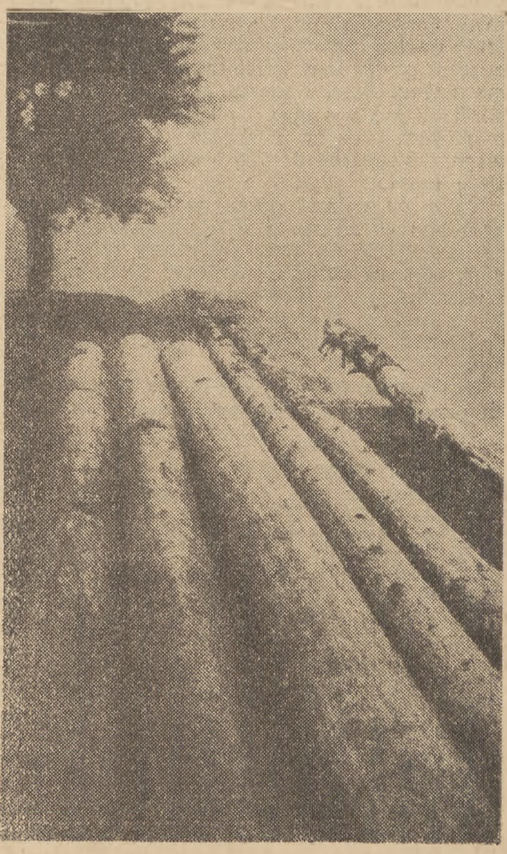
8.

Montując zespół środków dla rozwiązywania skomplikowanych zagadnień gospodarki górskiej nie można pominąć przemysłu chałupniczego, który zresztą we wszystkich górskich krajach Europy odegrał w kwestiach tych rolę zasadniczą, przysparzając ubogiej ludności góralskiej środków na pokrycie deficytów wynikłych ze skąpej obszarem i możliwościami gospodarki rolnej.

Przemysł chałupniczy na ziemiach górskich w Polsce ma szerokie i mocne tradycje. W Sądeckiem kwitnie korzusznictwo, szewstwo i rymarstwo, w Tarnowskiem koszykarstwo oraz wyrób drewnianych sprzętów kuchennych i zabawek, w Sanockiem i Krośnieńskiem rozwija się garbarstwo, powroźnictwo i tkactwo, zaś Gorlickie słynie z wyrobu mazi kołowej, smoły, dziegciu i ubocznych produktów naftowych. Na całym Podhalu wyrabia się galanterię drzewną, tu i tam występuje hafciarstwo, koronkarstwo i czapnictwo.

Przemysł ten, wyzyskiwany przed wojną przez kapitalistycznych hurtowników i nakładców w nieludzki sposób, podupadł mocno. Wojna i okupacja wykończyły go do reszty. Czas jednak odgrzebać tamte tradycje i dźwignąć chałupnictwo z upadku. Pracy tej — dostarczenia chałupnictwu kredytów i maszyn, zaopatrzenia go w potrzebny surowiec, zorganizowania korzystnego zbytu winny się podjąć Gminne Spółdzielnie ZSCh. Również aktualną byłaby szkoła przemysłów chałupniczych.

Józef Bieniek





Maciej Koliba

CZY CHODZI TU O REALIZM?



Rys Karol Baraniecki

Stefan Kisielewski, jako felietonista „Tygodnika Powszechnego“, ma od swych mocodawców „placet“ na uprawianie gry, którą można by nazwać „perskim okiem“ liberała. Kunszt jego sztuki sprowadza się do tego, by umieć czytelnikom pisma pokazywać „ciekawsze od normalnego świata zewnętrznego formy istnienia“, by odkrywać przed nim „niewymierne wymiary“ i „nie dostrzegane pejzaże“. Można tej grze się przyglądać z łagodną dozą wyrozumiałości, gdy autor sobie hasa w „niewymiernych wymiarach“, gorzej jest, gdy z techniką „perskiego oka“ przystępuje on do problemów, których prawidłowe rozstrzygnięcie ma decydować o naszej literaturze, o naszej kulturze. Mamy w tej chwili na myśli ostatni artykuł Kisielewskiego: „Realizm, ale jaki?“ („Tygodnik Powszechny“ Nr 1/199).

Autor „Sprzysiężenia“ włączył się tym artykułem do dyskusji, jaka na łamach naszej prasy toczy się już od dłuższego czasu, mianowicie do dyskusji na temat realizmu. Warto się przyjrzeć wywodom publicysty katolickiego w momencie, gdy przed kilkoma zaledwie dniami na Zjeździe Literatów w Szczecinie padł postulat, że „troska... o współczesność, o jej prawdziwe i wszechstronne **wyrażenie** w obrazach literackich winna być główną, podstawową, decydującą dla powieściopisarza“. Warto się przyjrzeć wywodom Kisielewskiego ze względu na chwyty w nich zastosowane i morał „wieńczący dzieło“.

Kisielewski podejmując dyskusję w sprawie realizmu zawarował sobie prawo do skontrolowania zagadnienia z punktu „sceptycznego obserwatora“. Zastrzeżenie byłoby uprawnione, owszem, gdyby rozszerzało problem, a nie płynęło z chęci jego zlikwidowania, dlatego, że jest niewygodny dla „mieszczańskiego liberała“ i systemu, który on reprezentuje. Przypatrzmy się jednak, jakiej metody chwyta się Kisielewski w swoich poszukiwaniach... prawdziwego realizmu.

W dotychczasowych dyskusjach wymiana zdań między twórcami, krytykami i publicystami szła przede wszystkim w kierunku ustalenia zadań, jakie w dniu dzisiejszym stoją przed prozą literacką. Nie chodziło tu o precyzyjne wypracowanie definicji, o określenie terminów, w których bez reszty mieściłby się problem postulowanej prozy literackiej. Realizm jako nazwa był potraktowany jako termin orientacyjny. Zawierał w sobie znaki, które mówiły o kierunku, o nastawieniu. W zakresie tak ustawionego pojęcia akcentowano przede wszystkim potrzebę pisarstwa, które by dawało literackie poznanie historycznie uwarunkowanej walki sił społecznych i orientowało się na opanowanie problemowe nowych form życia, jakie wynikają z dzisiejszego ustroju.

Kisielewski, resumując dotychczasową dyskusję, dochodzi do wniosku z punktu widzenia „sceptycznego obserwatora“, że przecież to wszystko nie mieści się w terminie. Idzie dalej — robi z siebie ofiarę, dla obiektywnej prawdy uderza pozornie i ludzi ze swojego obozu, dlatego by pod gruzem walącej się świątyni znaleźli się przede wszystkim przeciwnicy. W jego mniemaniu więc fałszywie rozumieją realizm i zwolennicy materialistycznego poglądu na świat i zwolennicy spirytualistycznej koncepcji życia ludzkiego, bo realizm to jest przecież odtwarzanie rzeczywistości. A nie są w stanie odtworzyć obiektywnie rzeczywistości ani jedni, ani drudzy, bo podchodzą do przedmiotu z przyjętą z góry „koncepcją intelektualną“. bo „w wybieraniu i grupowaniu faktów będą się kierowali względem na uwypuklenie **znanego im uprzednio** ich wewnętrznego związku, mechanizmu ich stawania się, praw ich wynikania z siebie i zazębiania“. Grzech więc jest wspólny, sugeruje Kisielewski — w praktyce i materialiści, i spirytualiści „rzutują intelektualną koncepcję powiązania faktów, przenoszą prawa stwierdzone w jednych warunkach na warunki nowe“. Kisielewski przymruża oko i robi znak równości między postawą pisarza marksisty i postawą pisarza katolika właśnie ze względu na to, że obaj przy literackim przechwytywaniu rzeczywistości mają „intelektualną koncepcję“. Tu kropka. Na różnicę tych koncepcji puszcza dymną zasłonę. **Przemilcza** mianowicie, że pisarz realista kształtujący w materialistycznej koncepcji swoje widzenie świata — opiera się na przesłankach **poznawczo-sprawdzalnych**, wyjaśnianie nowych faktów wynika u niego z **dostrzeżenia prawidłowości w zaszłych już przebiegach.** Pisarz odwołujący się w wyjaśnieniu zjawisk do systemu irracjonalnego ma na potwierdzenie swojej prawdy tylko **doktrynę fideistyczną.** Dla pisarza marksistowskiego świat, jego rzeczywistość ludzka są sprawdzalne całą sumą historycznego doświadczenia, zmienność form życia da się wyjaśnić, bo dadzą się wyjaśnić siły tym życiem kierujące, dopuszcza się tu możliwość przekształcania rzeczywistości i zakłada się ją, właśnie ze względu na poprzedzające doświadczenia. Stosunki ludzkie, rozpatrywane pod kątem historycznych systemów wytwarzania dóbr materialnych i duchowych w oparciu o stojące poza nimi siły społeczne — są tu polem obserwacji.

Dla zwolenników systemów irracjonalnych rzeczywistość się nie dzieje — jest dana, faktów w niej się więc nie wyjaśnia, można je tylko interpretować ze względu na doktrynę. którą się przyjęło raz na zawsze.

Kisielewski w tok swoich rozważań nie wprowadza tych rozróżnień między „dwiema koncepcjami intelektualnymi“. Tu robi woltę, odżegnuje się rzekomo od obu i wysuwa własną koncepcję realizmu, jako jedynie dopuszczalną w granicach terminu. Określa ją mianem **realizmu empirycznego (?...)** Według Kisielewskiego, pisarz pretendujący do miana realisty powinien mieć „do faktów stosunek bezinteresowny, wyprany z sugestii“ (?), należy, by podchodził do nich „bez żadnych apriorycznych czy na innych faktach uprzednio potwierdzonych koncepcji“. Jakie stąd wynikałyby konsekwencje praktyczne? Publicysta, literat katolicki sugeruje pisarzowi robotę wytworzenia **kliszy,** na której rzeczywistość ma się wiernie zapisywać. Czy te sugestie uderzają w marksistowską koncepcję literackiego powiązania i wyjaśniania faktów? Uderzają. Nie uderzają natomiast w koncepcję „uwypuklającą mechanizm stawania się faktów“ w „porządku spirytualistycznym“, bo przecież w tym porządku świat jako dany nie jest do przewidzenia, nie jest do opanowania, trzeba go każdorozawo tylko przyjmować, pisarz jego wizje może tylko przekazywać, nie daje mu się żadnych szans na włączenie się w proces przekształcania życia, odmawia mu się prawa ingerencji. W tym określeniu funkcji pisarza więcej jest agnostycyzmu niż sceptycyzmu. Morał znakomicie mieści się w irracjonalnej koncepcji świata niezmiennych, danych z góry stosunków — służy on tej klasie społecznej, którą ideologicznie wyraża Kisielewski.

Klasa ta dzisiaj w obronie swoich interesów, w obronie przed odpowiedzialnością chciałaby zdyskredytować postulat realizmu socjalistycznego, bo daje on inną wizję świata, odkrywa prawdziwy mechanizm faktów, tym samym przyśpiesza likwidację remanentów starego porządku, którego kurczowo trzyma się „mieszczański literat“. W obronie utraconych pozycji pokazuje coraz to inny kostium — tym razem realizm bezinteresownej kliszy, byle za wszelką cenę przeciwstawić się temu realizmowi, jaki postuluje nowa rzeczywistość, realizmowi, który ma pomagać ludowi w budowie jego lepszego życia.

Jadwiga Ulicha

Miasteczka, miasteczka, miasteczka

BO MATEJKO TO PRZECIEŻ...

Jestem uczennicą liceum w prowincjonalnym miasteczku o kilkunastu tysiącach mieszkańców. W gimnazjum znajduje się 3 procent młodzieży robotniczej, 6 proc. chłopskiej. Reszta pochodzi z drobnomieszczaństwa (rzemieślnicy, inicjatywa prywatna — sklepikarze, wolne zawody, urzędnicy). Czytanie pism literackich, jakie zalecał licealistom redaktor Król, nie jest tu dlatego sprawą prostą. To w kręgu ZMP budzi się pęd do rozszerzenia wiadomości, do pogłębienia kursu historii i literatury, a co najczęściej okazuje się po prostu dopiero **zrozumieniem** historii i literatury. Ale to się zaczyna w samym jądrze koła ZMP. Bo pokaźna liczba zapisanych członków to „martwe dusze“. Nacisk 90 proc. młodzieży drobnomieszczańskiej działa tu nie tylko na zdolniejsze jednostki, nie tylko na „mniejszości narodowe“, jak my tu nazywamy młodzież chłopską i robotniczą, ale działa totalnie na wewnątrz w samej tak olbrzymiej masie drobnomieszczańskiej młodzieży. Jest tu za dużo nosicieli zarazy wstecznictwa, za dużo organizmów podatnych do zarażeń. W tym kotle warunki społeczne nie sprzyjają uzdrowieniu. Zaraza pochłania...

Stawiałam sobie nieraz pytanie: **pouczanie, czy walka?** Podsuwane artykuły, których wartość polegała na **pouczeniu, czy douczeniu** przyszłego maturzysty, bywały z reguły odsuwane. Po co maksimum? Z minimum dać sobie radę to — sztubacka sztuka! Inaczej bywało z artykułami, wciągającymi na „udeptaną ziemię“. Wówczas ginęła na chwilę zaraza nr 1 — bezmyślność i niemyślenie. Czytano uważnie, oburzenie roznosiło plotkę, mobilizowało nowych czytelników. Organizowała się zaraza nr — 2. Kapitałem posiadanych przesądów uderzano w argumenty artykułu. Łatwo było wówczas prowokować „ławkowe“ dyskusje, a nawet zwołać zebranie. Co mnie w tych okresach zarazy nr 2 najbardziej uderzało, to fakt wcale obfitego i ścisłego przyswojenia cytatów owych „oburzających“ artykułów.

Były to oczywiście główne tezy. W dyskusjach dorbnomieszczańscy synkowie albo córeczki mówili **mętnie swoje,** ale bardzo **jasno tezy, które zwalczali.** Po prostu cytowali. Właziły im w głowy zwroty, tok dowodowy, precyzja myśli ich generalnych, a nie obecnych przeciwników.

Myślę sobie, że gdyby tak przysłuchiwać się piątej z kolei dyskusji, a wyrazić je skrótowo: A, B, C. D. E, to w dyskusji E u nosicieli zarazy nr 1 i nr 2 usłyszymy poglądy ich przeciwników z dyskusji A i B.

Zatem — **walczyć!** I walcząc douczać! Taki charakter miał artykuł we „Wsi“ (nr 1—2) o „Patriotyzmie Matejki“. Zaczęło się od „Dziewczyny w rogatywce“ której reproduktcja wisi u nas na honorowym miejscu w klasie. Dlaczego wisi? To cała historia. Koleżanki z „lepszych sfer“ zagustowały w „dansingu“. Jest w miasteczku taka kawiarnia - dansing. Tędy co prawda tylko „przewiały“. Ale do Będzina i Katowic niedaleko. Rodzinne powiązania i obowiązki nie na jedną niedzielę przeniosły je do większych miast. Dansingowe wzory życia towarzyskiego przeszczepiły na grunt miasteczka. Otóż wychowawczyni przytaszczyła kiedyś Matejki reprodukcję „Dziewczyny w rogatywce“, zawiesiła w klasie i wypaliła podniosłą mówkę. Sens jej streszczał się do tego: oto Matejko, rozumiecie, **sam Matejko.** Oto jego obraz **polskiej** dziewczyny. To jest **narodowy typ,** a nie ten „szlajfujący się“ po dansingach. Patrzcie i uczcie się być podobne do tej dziewczyny **w rogatywce!** Tu łza wychowawczyni. Po czym post scriptum pod adresem uczniów: a wy uczcie się **takie** widzieć **Polki** I takie... **kochać** — nie powiedziała, ale tego się już domyśliliśmy.

Artykuł o „Patriotyzmie Matejki“ przeczytał ktoś z naszego jądra ZMP, w lot kilkoro innych. Akurat nasze panny z „lepszych sfer“ brały cięgi za „kokoszenie się“ i poniedziałkową nieobecność z powodu Katowic i Będzina. ZMP-owiec stanął w połowicznej obronie naszych strojniś. Wyłożył wychowawczyni pogląd, że owszem, dansingowy wzór — nie! Ale matejkowski również — nie! Bo to jest portret **historyczny, dziewczyny z dworku,** w Galicji czy Kongresówce, przed czy po powstaniu styczniowym, tego nie wie, ale wie natomiast, że reforma rolna folwarki rozparcelowała i ziemiaństwa w dworach nie ma. Upodobniajmy się do proletariatu, on jest bowiem twórcą współczesnej historii narodu. Wychowawczyni miała na to (choć skonsternowana) wypróbowaną odpowiedź: co było polskie, nie przestanie być polskie.

Ale po lekcji strojnisie i ich admiratorzy chętnie dali się wciągnąć w krótkie streszczenie artykułu o Matejce. Strojnisie, wobec zażegnanej burzy, czekały skwapliwie na argumenty umacniające ich nowy styl. Nie doczekały się, natomiast usłyszały, że Matejki patriotyzm był klasowy. Służył arystokracji i jest dziś historyczną przeszłością.

„Od słowa do słowa — wybuchła potyczka lądowa“. Do artykułu o Matejce dobrało się wielu. Chcę tu wypunktować kilka typowych reakcyj.

Ale zacznę nie od kolegów. Od mamy jednej ze „strojniś“. Na każdym kroku podkreśla ta pani, że należy do „inteligencji“ i ma po temu słuszne prawo, bo po 1) świadectwo maturalne, po 2) szlacheckie pochodzenie. Jeszcze o jej ojcu mówiło się — waszeć ten a ten, herbu tego a tego. Ale o niej już nie. I to ją boli. Wystarczyć jej musi tytuł „prezesowej“, za który ją w tej sferze inteligencko-drobnomieszczańskiej szanują, ale z pominięciem jej rodowodu. To już tutaj „nie bierze“, nie interesuje.

Mama z herbem najpierw oświadczyła, że artykuł rozumie, bo będąc z inteligencji „umie się zastanowić“. Po czym dała wykład. Streszczam go. Matejko nie był historykiem lecz malarzem, a historię znał tak jak **każdy przeciętny człowiek.** Malował obrazy treści historycznej nie dla tego, że doskonale znał i rozumiał historię, ale dla tego, że **gorąco kochał historię swego narodu.** „Czy musiał w Galicji historię Polski widzieć w historii magnaterii? — nie!“ Nic nie musiał, ale — mógł! Mógł, bo po 1) nie był znawcą historii i po 2) sięgał obrazami w te czasy, kiedy historią Polski była historia magnaterii. **Urzeczony raz wielkością i potęgą tej historii pozostał jej wierny, nie szukał innej, bo nie była mu potrzebna.**

Mama z herbem odmawia Matejce wiedzy historycznej, wyższej nad „każdego przeciętnego człowieka“. Nie wybadałam, co rozumie przez „przeciętnego człowieka“. Oczywiście jest to kategoria pozaklasowa. Sugeruje poza naukowe, a natomiast powszechne we wszystkich klasach i na wszystkich szczeblach wiedzy jakieś arytmetycznie przeciętne rozumienie historii. Wspólne i takie same w różnych okresach historii. Ale nie to jest najbardziej typowe dla pani prezesowej z herbem. Przeciętnie rozumiejący historię Matejko dlatego, że **ją gorąco kochał,** ujrzał ją jednak prawidłowo, odkrywczo. trafnie. Tak by wynikało z wypowiedzi pani prezesowej. Niestety, jak gdzieś czytałam: „cóż nam po miłości głupców“. Pani prezesowej szło nie o samą, gorącą miłość Matejki do historii narodu polskiego, ale o jej przedmiot. „Urzeczony raz wielkością i potęgą **magnaterii** pozostał jej wierny, nie szukał innej historii, bo nie była mu potrzebna“. Ten przeciętnie rozumiejący historię malarz miał gust! I za ten gust chwali go pani prezesowa. Jemu nie była potrzebna inna historia! A dlaczego? O to już nie pyta pani prezesowa, bo ona również zna historię jak „każdy przeciętny człowiek“ i jak tenże, gustuje w urzeczeniu Matejki.

Ze pani prezesowa z herbem tak mówiła — nie dziwiłam się. Ale podobnie mówili moi koledzy — nosiciele zarazy drobnomieszczańskiej. Jak można Matejce zarzucać — oburzali się — głuchość na hałasy Europy, jak zarzucać widzenie historii narodu w historii magnaterii? O czymże w takim razie świadczy obraz powstania kościuszkowskiego, czy o tym, że był głuchy i nie widział obok szlachty innych warstw narodu?

Matejko historyczną treścią obrazów podnosił patriotyzm. Człowiek patrząc na jego obrazy czuje jak krzepnie w nim i tężeje jakaś wewnętrzna siła i umiłowanie ojczyzny.

Czasy wielkich przedsiębiorstw i firm spekulacyjno-osadniczych, to niezaprzeczalnie czasy największej potęgi gospodarczej i politycznej Polski. Matejko czynił dobrze nawołując w swych obrazach do tych czasów, szkoda tylko, że już nigdy później nie powtórzyły się. Wiek XV i XVI na obszarach Niemna. Dźwiny i Dniepru to wspaniały czyn narodowy! A wyprawa kijowska z roku 1920, to też czyn narodowy. Walka o dostęp do morza na stepach ukraińskich...



Rys. Karol Baraniecki

Oto kapitał przesądów rzucony do walki „z oburzającym“ artykułem. Kosynierzy Kościuszki na obrazie Matejki to w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nie było nic więcej nad to, co głosił ks. Stojałowski „z szlachtą polską, polski lud“. to było mniej, niż Witosa „pomiędzy starszych braci“. To wystarcza i na dziś kolegom — nosicielom zarazy drobnomieszczańskiej. Czyja to była potęga gospodarcza i polityczna w Polsce w szesnastym wieku? O to nie pytają ci koledzy. Szkoda tylko, że się nie powtórzyła — mówią. Czyn narodowy, krzepnie i tężeje ich miłość do ojczyzny w wizjach historycznych, które należą do historii.

Biedna pani prezesowa nie zrozumie, iż mimo nie interesowania się jej herbem i rodowodem środowisko drobnomieszczańskie przedłuża mity, dla których podstawą historyczno-klasową były herby i rodowody. To jest osobliwość! Fakt, który zapisałam. Wyjaśnijcie go we „Wsi“. Bo w taki również sposób historyzuje drobnomieszczaństwo w małych miasteczkach.

Władysław Błachut

O KALENDARZACH POLSKICH

Obok biblii, żywotów świętych i prasy klerykalnej, pozornie bezbarwny politycznie kalendarz ludowy był przez długie lata prawie jedyną lekturą starszego pokolenia chłopów; dzieciom wiejskim zastępował kolorowe wydawnictwa, a kobietom służył często jako jedyny i najwierniejszy poradnik domowy. Jeszcze i dziś dobrze opracowany kalendarz cieszy się na wsi specjalnym uznaniem i daleko większym powodzeniem niż książka czy czasopismo. Ciekawych spostrzeżeń w tym względzie mogłaby dostarczyć Spółdz. Robotnicza „Prasa“, której Kalendarz „Poradnik Rolnika“ na rok 1949 wstępnym bojem zdobył sobie ostatnio masy chłopskie.

Dlatego nie będzie od rzeczy na przełomie roku rzucić okiem wstecz i choćby powierzchownie zapoznać się z ostatnim etapem długiej i bogatej historii wydawnictw kalendarzowych w Polsce.

W początkach XIX wieku zaczynają pojawiać się pożyteczne dla postępu ekonomicznego wsi kalendarze gospodarcze. Wychodzą również w Galicji kalendarze polityczne, zawierające spisy władz, urzędów, opisy miast i wsi, jarmarków itp. W każdym z nich jednak sprawy religijne (żywoty świętych) wysuwają się na czoło, a często najwięcej zajmują miejsca. Od roku 1849 zaczynają wychodzić nakładem krakowskiego „Czasu“ kalendarze ścienne, z ozdobnymi widokami, litografowane. W tym też czasie, po uwłaszczeniu chłopów i przyznaniu im praw politycznych pojawiają się pierwsze kalendarze „dla ludu“, które później miały masowo zawędrować pod chłopskie strzechy... Od roku 18[illegible] zaczyna wychodzić doskonały „Kalendarz powszechny“, nakładem Jul. Wildta, wykonany w drukarni „Czasu“ z źródłowymi opisami miast, wsi (ale i z żywotami świętych). Redagował go później m. in. Władysław Anczyc.

Znacznie później od krakowskich pojawiają się „kalendarze warszawskie“. Nieopromienione sławą profesorskich autorów (brak akademii) zawierają niemniej wiele ciekawych wiadomości o dawnych urzędach, godnościach, danych statystycznych, geograficznych, heraldyczych itp. W czasach późniejszych wielkim wzięciem cieszył się „Kalendarz warszawskiego Tow. Dobroczynności“ (od roku 1863), którego redaktorem był przez jakiś czas J. I. Kraszewski oraz pełen znaczenia dla wsi „Kalendarz dla ludu polskiego“ wydawnictwa „Gazety Rolniczej“ i „Kalendarz ludowy obrazkowy“. Z kalendarzy ściennych wyróżniały się swą estetyką kalendarze chromo-litografowane M. Fajansa.

Wraz z powolnym rozwojem oświaty na wsi po uwłaszczeniu chłopów w latach 1843 i 1863 mnożą się i nabierają ogromnego znaczenia kalendarze dla ludu. Dla zaspokojenia zapotrzebowania (i zarobku wydawców) wychodzą osobne kalendarze w małych nawet miasteczkach, jak w Bochni, Samborze, Wadowicach. W tym ostatnim ukazał się w 1853 roku pożyteczny „Kalendarz domowy i gospodarski dla ludu wiejskiego“ i „Kalendarz nowy krakowski na rok pański 1859“ (druk i nakład Jana Sabińskiego).

W Cieszynie na Śląsku austriackim wychodzą i cieszą się wielkim powodzeniem osobne kalendarze dla katolików a osobne dla ewangelików. Szczególnie znanym jest wychodzący od roku 1859 (nakład Karola Prohaski) „Kalendarz polski, według kalendarza wieczystego ułożony, na południk krakowski wyrachowany“ o mieszanej treści artystycznej, gospodarczej i religijnej oraz „Kalendarz cieszyński“, zawierający m. in. opis kościołów księstwa cieszyńskiego.

Nauczone czytać przez organistę a potem przez nauczyciela dziecko chłopskie traciło potem całkowicie kontakt ze słowem drukowanym i nierzadko po latach grzęzło w powrotnym analfabetyzmie. Zapobiec temu miały właśnie wydawnictwa kościelne (książki do nabożeństwa, żywoty świętych, biblie i katechizmy) i nabierające coraz większego znaczenia wydawnictwa kalendarzowe.

Te ostatnie miały tę przewagę nad literaturą religijną, że w zamknięte opłotki chłopskie zaczęły wnosić pierwsze echa z dalekiego świata, przekazywać głodnym wiedzy masom chłopskim pewien zasób interesujących i pożytecznych wiadomości.

Jaka była tematyka tych wydawnictw i jaki zasięg ich społeczno-politycznego oddziaływania na masy chłopskie?

Łatwo stwierdzić, że różni „przyjaciele, opiekunowie i nauczyciele“ ludu wiejskiego doceniali, jak wielką rolę może spełnić w życiu wsi kalendarz w ich pojęciu „ludowy“ czy katolicki. Nie znajdując początkowo żadnej konkurencji ze strony świadomych położenia wsi działaczy chłopskich, przedstawiciele kleru i reakcji szlacheckiej prowadzili za pośrednictwem kalendarzy ludowych i katolickich szeroko zakrojoną ofensywę społeczno-polityczną na odcinku wiejskim. Na kartkach kalendarzy, wciskanych w ręce chłopskie, nasi panowie przy pomocy usłużnej im części kleru przekazują chłopom swoje zapatrywania na rolę i przeznaczenie chłopa w życiu narodu i państwa. Wszelkimi sposobami starają się utrzymać masy chłopskie w bezwładzie i nieświadomości, przypisując nędzę ówczesnej wsi „woli Bożej“, a co najwyżej zgubnym wpływom „gorzałki“, aprobują bez zastrzeżeń układ ówczesnych stosunków społeczno-gospodarczych na ziemi, nie szczędząc natomiast perspektywy wiecznej szczęśliwości w niebie. Dlatego pojawiające się obok części oficjalnej (rachuba czasu, przepowiednie pogody, wykazy świąt, genealogie cesarskie, wykazy jarmarków, taryfy itp.) na łamach naszych kalendarzy wiersze, legendy, baśnie, powiastki, opowiadania i artykuły prawie zawsze mają za temat poczciwego kmiotka, posłusznego, pracowitego, pobożnego i szczerze oddanego swemu Panu (zawsze przez duże „P“), który wprawdzie każe chłopu ciężko pracować, ale za to kocha go bardzo, i gorąco pragnie dla niego wiecznej szczęśliwości w niebie.

Masowo cytowane i gęsto zamieszczane są w ówczesnych kalendarzach przysłowia i krakowiaki nastawione na gloryfikowanie dworu i poddanie się chłopa nielekkiej Woli Bożej. Oto treść paru krakowiaków, jakie przynosi „Kalendarz domowy i gospodarski dla ludu wiejskiego na rok 1853“, wydany w Wadowicach przez J. Pokornego:

„Chłopek ja se chłopek, w polu pługiem orzę,
Dobrze mi się wiedzie, chwałaż Tobie Boże!“
„We dworku Pan dobry a ja też do niego
Idę na poradę jak do ojca mego,
Pan często pomoże, nauczy, oświeci,
Bądźmyż mu przychylni jako dobre dzieci...“

Podobną sentencję ma również złota myśl, podana w tym samym kalendarzu, w wierszu do Boga:

„Niech ku wiecznej Twojej chwale Pan i chłopek idą zgodnie,
Ziarno cnoty rzuć im w dziale, nienawiści wypleń zbrodnię...“

Życzenia i postulaty wydawców kalendarzy ludowych pod adresem chłopów precyzuje m. in. „Kalendarz dla ludu polskiego na rok zwyczajny 1863“, wydany w Krakowie, gdzie we wstępnej odezwie czytamy m. i.: „Kochani Bracia! Dziś, kiedy już wielu z Was dzięki Bogu z drukowanego czytać potrafi, — kiedy dzieci Wasze, da Bóg nie zadługo i więcej jeszcze umieć będą — dziś prosicie o piękne a ciekawe historie. Ludzie dobrzy co to Was kochają prawdziwie, z których każdy przycisnąłby Was do serca i tem co umie chętnie się z Wami gotów podzielić jedni z nich jak Panowie po wsiach szkoły Wam zakładają.. inni znów piszą i drukują darza tego spisałem dla ciebie Wiarusie, ja Majster od Przyjaciela Ludu, różne przeróż- piękne historie, dla Was Bracia mili, abyście na oczy przejrzeli, **Boga uczcić, ludzi starszych uszanować, bliźnich jak siebie samych pokochać umieli...**“

Wydawcy kalendarzy ludowych umieli też odpowiednio reklamować swe wydawnictwa. Tak np. „Kalendarz Katolicki dla kochanych Wiarusów w Prusach Zachodnich, W. Księstwie Poznańskim i Śląsku“ na rok 1863, wydany w Chełmnie przez „Majstra od „Przyjaciela Ludu“ Ignacego Danielewskiego w ten sposób we wstępie zaleca swą treść: „Z kalendarza dowiesz się o świecie, dowiesz się o poście, dowiesz się o imieninach każdego znajomego, o jarmarku w każdym miejscu, żebyś wiedział gdzie co sprawić i na próżno się nie włóczył nigdy. A potem w końcu kalendarza tego spisałem dla ciebie Wiarusie, ja Majster od Przyjaciela Ludu, różne, przeróżne rzeczy pożyteczne i ciekawe, żebyś też wiedział, jak to było i jest w świecie, co Pan Bóg stworzył i jak pełna ziemia darów i cudów Jego“...“.

Niezwykle ciekawy i „budujący“ w swej treści jest „Ilustrowany Powszechny Kalendarz dla wszystkich stanów na rok 1869“, wydany w Krakowie nakładem Wydawnictwa Czytelni Ludowych. Obok wymownych ilustracji przy głównych w każdym miesiącu zajęciach (np. na styczeń ukazuje poczciwych kmiotków, jak kornie schyleni do kolan rozwalonych w fotelach dziedziców składają im życzenia Nowego Roku) kalendarz ten w długim artykule Jana Gregorowicza podaje niezwykle szczegółowo sformułowane i przykładami poparte pouczenia i przestrogi dla służących, które z biednej wsi galicyjskiej coraz liczniej uciekają na służbę do miasta. Oto skromna część tych „chwalebnych“ zaleceń: ....„Pamiętaj, że w mieście nie na to obiera się stan służebny, żeby się wydać za mąż, tylko żeby w uczciwej pracy znaleźć dla siebie utrzymanie... Znalezienie męża zostaw woli Bożej, a ty myśl o tem, żebyś była dobrą służącą... Służąc nie gardź żadną robotą, rób chętnie i z pośpiechem, a czego nie umiesz pytaj się i proś o radę...

...Nie strój się, nie fiokuj i nie elegantuj. Niech ludzie widzą zawsze, żeś **biedna służąca,** a niech postępowaniem twojem przekonają się, żeś skromna, uczciwa, pracowita, ochędożna, oszczędna i miłująca porządek... W postępowaniu z mężczyznami bądź ostrożna, ale nie szorstka i nie brutalna (zwłaszcza dla panów i paniczów — przypisek podpisanego), oczami ich nie ścigaj, ale i nie uciekaj wiecznie z niemi ku ziemi... Poufałości zbytecznej nigdy nie dopuszczaj, choćby się zaklinał na Boga, że się będzie żenił... Rano i wieczór zmów pacierz klęczący i poleć się opiece Bożej. O ile możesz bywaj w kościele, ale zrób wszystko co do ciebie należy... Pańskiego dobra strzeż jak oka w głowie, siedź w domu, pracuj, krzątaj się, nie zamyślaj, do wszystkiego przyznawaj się otwarcie i kupując w mieście wyższych cen nie podawaj!...“ Przekazania te nie wymagają komentarzy!...

W ogóle interesy panów, kleru i bogaczy wiejskich są w tematyce prawie wszystkich kalendarzy ludowych stawiane na pierwszym miejscu, a bijąca w oczy nędza wsi znajduje tam swoiste uzasadnienie. Ciekawe uwagi przynosi na ten temat Kalendarz „Chaty“ na rok 1887, wydany we Lwowie, gdzie w artykule wstępnym czytamy: ...„W Galicyi bieda jest niejako powszechnie grasującą chorobą. A z czegóż to pochodzi? Zadłużanie się nieustanne u Żydów, życie nad stan, marnowanie czasu i nieuctwo, oto ważniejsze przyczyny naszego ubóstwa... Drugim powodem naszego ubóstwa jest zbytek (!)... W tym nowym roku z wiarą w sercu, z modlitwą na ustach, z ochotą do pracy i trudów idźmy no przód, a Bóg nam dopomoże. A jeśli kiedy dotknie nas i krzyż jaki, nie szemrajmy przeciw Bogu, lecz z pokorą mówmy słowa modlitwy Pańskiej „Bądź wola Twoja...“ To ma być wyjaśnienie i lekarstwo na nędzę wsi!!

Zwykle też rady i przepisy gospodarcze kalendarzy ludowych nastawione są na interesy bogaczy wiejskich. Są one często specyficznie umotywowane a dla łatwiejszego zapamiętania podane w formie wierszowanej np.:

„A na świętych męczenników, hej gosposiu do kurników.
Posadź gęsi i kokosze, bo z tej sadźby będą grosze.
A zaglądaj do karmnika, niech się tuczą wieprze, świnki,
Każdy w święta łaknie szynki, a grosz płynie do grosika.“

Niestety, nie widział tego grosza, ani też nie wąchał zapachu szynki biedniak wiejski.

Na czołowe miejsce w tematyce kalendarzowej wybijają się jednak sprawy religijne, gdyż reakcyjni wydawcy kalendarzy wychodzili ze słusznego założenia, że utrzymując masy chłopskie w zaklętym kręgu piekła, nieba, kościoła i plebanii, tym samym oddalają je od innych niebezpiecznych dla klas posiadających zainteresowań.

Gdy jednak z latami naiwne opowiadania i legendy, jak np.: „O włościaninie Feliksie Boroniu ze wsi Kaszow pod Krakowem“, który odbył pieszo pielgrzymkę do Rzymu, gdzie „stanął przed Ojcem Świętym, jako przedstawiciel wiary i pobożności ludu naszego, a ukląkłszy zalał się łzami i płakał a Ojciec Święty te łzy zrozumiał, i ubłogosławił je...“ (v. „Kalendarz katolicki dla ludu wiejskiego na roku 186[illegible]“); czy o św. Dorocie, która „otrzymała od Oblubieńca swego, jako druga Katarzyna Sjeńska, serce nowe, wielce ogniste, włożone na miejsce wyjętego pierwszego“ (tamże), już nie wystarczają i gdy wraz z rozwojem oświaty i życia politycznego na wsi chłop zaczyna dopominać się o swe prawa, kalendarz jeszcze raz staje się orężem walki reakcji z ofensywą postępu. Ważną rolę odgrywają tu kalendarze katolickie, zwłaszcza chadeckie, które wspomagane przez reakcyjną prasę chłopską przypuszczają generalny atak i nie przebierają w środkach walki z myślą postępową na wsi.

Będzie to jednak obrona straconych pozycji. Z czasem kalendarz katolicki czy ludowy zacznie powoli tracić na znaczeniu a postępowa myśl chłopska torować sobie drogę wśród żądnych prawdziwych nowin ze świata mas chłopskich.

W każdym razie rozpatrując historię i znaczenie kalendarzy ludowych na wsi trzeba stwierdzić, że na przełomie XIX i XX w. kalendarze ludowe i katolickie cieszyły się wśród chłopów ogromną popularnością. Prawie każde pismo i pisemko dla „prostego ludu miejskiego i wiejskiego przeznaczone“ wydawało w tym czasie swój kalendarz czy kalendarzyk. W każdej też prawie chacie chłopskiej można było znaleźć kalendarz „Wieńca“ i „Pszczółki“, „Chaty“, „Roli“ (z różnobarwnych kartek złożony) „Katolicki“ i inne. Wartość literacka tych wydawnictw była na ogół niezwykle niska a ich użyteczność społeczna problematyczna. Poza ważnym dla postępu gospodarczego wsi działem porad rolniczo-weterynaryjnych i spisami jarmarków kalendarze te (nawet ks. Stojałowskiego) grzęzły uparcie w tematyce religijnej (posty, suche dni, dni krzyżowe, żywoty świętych i błogosławionych, nabożeństwa w kościołach itp.) i naiwno-historycznej (wierszowane ballady o królach, spisy papieży i monarchów itp.).

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju tematyka kalendarzy ludowych, inspirowana przez czynniki reakcyjne zaborcze i własne, przy małej aktywności czynników postępowych na wsi w dużym stopniu hamowała proces uświadomienia społeczno-politycznego mas chłopskich.

Ale kalendarze ludowe, stanowiąc dość często jedyne prawie egzemplarze słowa drukowanego na wsi i spełniając tu rolę instruktora gospodarczego, nie pozostały i bez dodatniego wpływu na rozwój oświaty i postęp cywilizacyjny wsi polskiej.

Jarmarki w Państwie Rosyjskiem.

Gubernia Kaliska.

Bąbiak, jarm. 6, we wtorki: po 3 Król., po św. Janie Bożym, po św. Zofii, po św. Małgorzacie, po Narodz. Najśw. Maryi Panny, po św. Teodorze.

Błażki, jarm. 6, we wtorki: po Oczyszcz. NMP., po Przew. Niedz., po św. Antonim, po św. Rochu, po św. Michale, po św. Katarzynie.

Bolesławice, jarm. 6, w poniedz.: po NMP. Gromn., po Wielkan., po św. Trójcy, po św. Małgorzacie, po św. Mateuszu, po św. Łucyi.

Brdów jarm. 6, w poniedz. po św. Pawle Pustel. i po św. Kazimierzu, we wtorek po św. Stanisławie, w poniedz. po Nawiedz. NMP., po św. Michale i po św. Marcinie.

Brudzew, jarm. 6, w poniedz.: po 30 Stycz., 27 Marca, 6 Czerwca, 4 Wrześ., 30 Paźdz., 18 Grud.

Barzewin, jarm. 6, w środy: po 3 Król., po św. Macieju, po Niedz. Kwietniej, po św. Maryi Magdal., po św. Bartłomieju, po św. Łukaszu.

Chocz, jarm. 4, we wtorki: przed św. Filipem i Jakóbem, po św. Bartłomieju, po św. Jadwidze, po św. Marcinie.

Dąbie, jarm. 6, we wtorki: po św. Grze-

Kalisz, jarm. 6, w poniedz.: po Oczyszcz. NMP., przed św. Markiem, dnia 28, 29 i 30 Maja 3-dniowy na wełnę, w poniedz. po św. Idzim, po św. Jadwidze, po św. Marcinie.

Kazimierz, jarm. 6, w poniedz. po 3 Królach, we wtorki po św. Józefie i po św. Wojciechu, w poniedz. przed św. Janem Chrzcic., po Wniebowz. NMP., po św. Marcinie.

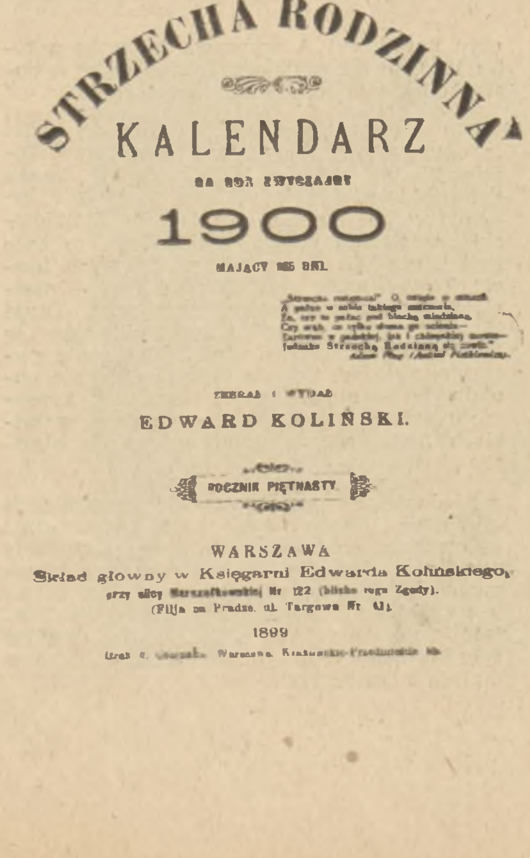
Kleczew, jarm. 6, we wtorki: po 3 Królach, po Niedz. Kwietniej, po św. Piotrze i Pawle, przed św. Idzim, po św. Łukaszu, po św. Andrzeju Apostole.

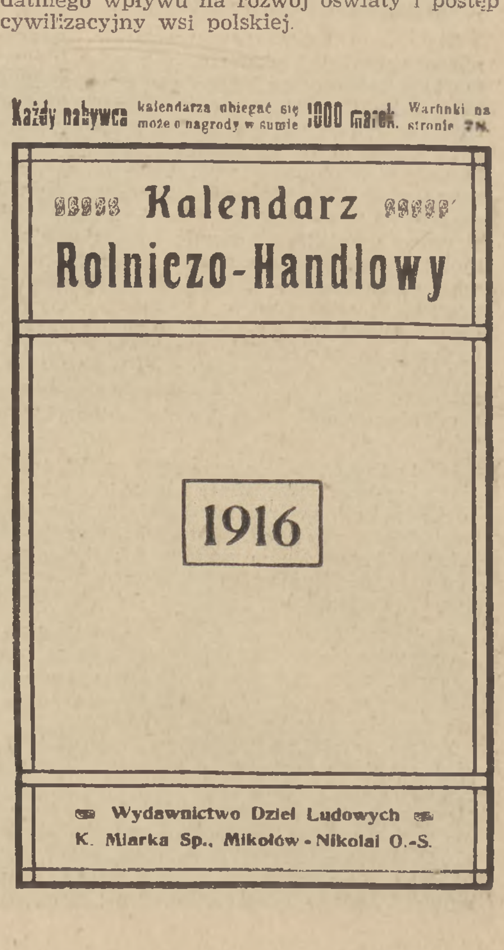
Kłodawa, jarm. 6, we wtorki: po 3 Król., po Niedz. Środop., po św. Wojciechu, po św. Jakóbie, przed św. Idzim, po św. Klemensie.

Koło, jarm. 6, we wtorki: po Oczyszcz. NMP., po Niedz. Środop., po św. Stanisławie, po Podwyższeniu Krzyża św., przed św. Szymonem Judą, po św. Katarzynie.

Konin, jarm. 6, w czwartki przed Niedz. Mięsop., przed Niedz. Palmową, przed Wniebowst. Pańskiem, po św. Bartłomieju, po św. Łukaszu Ewangeliście, przed 4-tą Niedz. Adwentu.

Cenne strony w starych kalendarzach: wykaz jarmarkow


WYDAWNICTWO EDWARDA KOLIŃSKIEGO
nagrodzone Listem Pochwalnym na wystawie drukarskiej w Petersburgu w roku 1895
STRZECHA RODZINNA
KALENDARZ
NA ROK ZWYCZAJNY
1900
MAJĄCY 365 DNI.
ZEBRAŁ I WYDAŁ
EDWARD KOLIŃSKI.
ROCZNIK PIĘTNASTY
WARSZAWA
Skład główny w Księgarni Edwarda Kolińskiego,
przy ulicy Marszałkowskiej Nr 122 (blisko rogu Zgody).
(Filja na Pradze, ul. Targowa Nr 41).
1899


Każdy nabywca kalendarza ubiegać się może o nagrody w sumie 1000 marek. Warunki na stronie 78.
Kalendarz
Rolniczo-Handlowy
1916
Wydawnictwo Dzieł Ludowych
K. Miarka Sp., Mikołów - Nikolai O.-S.

POLEMIKI

Piotr Chmura

OPTYMIZM WYMAGA SZERSZEGO HORYZONTU

Programowy referat na Zjeździe Szczecińskim literatów tak uzasadniał Stefan Żółkiewski, autor tego referatu: „Przychodzą momenty zwrotne, kiedy myśl teoretyczna, myśl planująca obejmuje **ze szczególną jasnością przeszłe — osiągnięte i przyszłe zamierzone...**". Otóż wydaje nam się, że w obrazie przeszłych osiągnięć **szczególnie** szwankowała **jasność!** Pochwały sypały się jak z rogu obfitości ale tylko na... pisarzy „Kuźnicy". Jeśli miała to być metoda przykładu, hm, to chyba według metody kota, kiedy, zrzucony z piętra spada na cztery łapy.

Idzie nam o publicystykę. Przemilczenie „Wsi" w tym zakresie było niedopuszczalne. I to właśnie w granicach dyrektyw, jakie przyjmował Żółkiewski. Oto dwie z nich: 1) „artystyczne osiągnięcia — **wyprzedza** płodna i bogata **publicystyka**". Walka w literaturze „ma charakter przede wszystkim **przewrotu umysłowego**". 2) „Określenia stylu i norm nowej literatury szukać musimy nie w literackich regułach przeszłości, ale w rzeczywistości **współczesnej**, społecznej rzeczywistości **polskiej rewolucji** i **polskiego budownictwa**".

Przewrót umysłowy to sprawa pierwsza, warunkująca i nową literaturę, i nowe na nią zapotrzebowanie społeczne. W przewrocie umysłowym „Wieś" brała udział i to nie mały, i to wyprzedzając w zakresach, jakie ją specjalnie obowiązywały. Wyjaśnienie politycznego ruchu ludowego z ostatniego półwiecza było i jest nadal ważne dla wsi, dla proletariatu, dla inteligencji, i dla młodego pokolenia. Krytyka wychowania wiciowego była jedną z niewielu bitew, wydanych personalistycznej pedagogice, jakie rozegrały się w samym konkretnym miąższu praktyki społecznej. I dała skuteczne, pomyślne rezultaty praktyczne. Analiza rodowodu „ludomanii", jej rozgałęzień, masek i kostiumów, odsłoniła dawniejsze i współczesne pokolenia inteligencji wyjaśniając przez to wiele samej inteligencji z jej złożonych związków z nacjonalizmem burżuazyjnym a proletariatowi źródła inteligenckich oporów i zagrożeń w jego zwycięskiej drodze do socjalizmu.

Od połowy 47 roku — krok po kroku drenowaliśmy problem kapitalizmu na wsi od czasów zniesienia pańszczyzny. Mieliśmy po temu dostatecznie silny bodziec; bitwę z „agraryzmem", stoczoną w r. 46. Walka klasowa na wsi doczekała się u nas przeglądu historycznego w jej formach gospodarczych, politycznych, społecznych i kulturalnych.

Zarzuty Żółkiewskiego pod adresem „swoich", że nie podjęto poważnej, planowej rewizji, nas objąć nie mogą. W granicach pisma i jego rodzaju literacko - społecznego wymienione przeze mnie rewizje „Wieś" przeprowadziła poważnie i planowo.. Chcielibyśmy, aby można było powiedzieć to samo o „Kuźnicy" i „Odrodzeniu" w zakresie dziejów klasy robotniczej i inteligencji mieszczańskiej. Tak, była tu „dorywcza partyzantka" I publicystyka, która winna wyprzedzać literaturę nie bardzo szukała „w rzeczywistości współczesnej, w społecznej rzeczywistości polskiej rewolucji i polskiego budownictwa". Dzisiaj wytykamy Boguszewskiej, Adrzejewskiemu czy Pytlakowskiemu (albo pisarzom robotniczym, albo o rewolucyjnym proletariacie piszącym), a przecież najpierw należało i należy publicystyce dokonać „przewrotu umysłowego" w rewizji konstrukcji i materiału tej rzeczywistości społecznej, w której naprawdę bije serce nowej, socjalistycznej Polski. I tu dosięgała „Wieś" częściej, niż powołani bezpośrednio do tej roboty. Drogi ze wsi do proletariatu, do związku z jego rewolucyjnymi celami i dynamiką zostały u nas pokazane. Było i jest ich wiele. I one to, któraś z nich, tłumaczy to najdziwniejsze zjawisko — Wrocław. 48 proc. chłopów ze wsi wypełnia to miasto. W fabrykach sięgają 40 proc., a nawet i 80 proc. Jak się to stało, że z tego olbrzymiego surowca kadry zaprawionych, partyjnych robotników mogły wykrzesać ogień zapału, poświęcenia i umiejętności i w jego żarze osiągnąć gigantyczną produkcję? Takie drogi sięgające do jądra „współczesnej rzeczywistości polskiej rewolucji i polskiego budownictwa" musi odkryć i pokazać — **wyprzedzając** — publicystyka!

Z tą współczesną rzeczywistością polskiej rewolucji i polskiego budownictwa my jesteśmy w organicznym związku. Dotykamy jej wielorako na wsi, na prowincji, w miasteczkach, wśród młodzieży na wszystkich piętrach jej nauki i pracy. Ankiety, materiały, listy to są ci pierwsi, autentyczni, **masowi pisarze**, z którymi współpracują nasi publicyści. A bez których nie ważylibyśmy się zamaczać pióra w kałamarzu, aby nie skończyć na frazesie i zdawkowości. To są ci często i nieostatni pisarze. Coraz więcej z nich przechodzi próg „grypsiarza" i drukuje obok nas, składając dowód, że droga Lucjana Rudnickiego nie musi być drogą wyjątkową i że można ją odbyć i w krótszym czasie.

Żagalopował się Żółkiewski, kiedy nawet o Wł. Kowalskim, Kruczkowskim i Wasilewskiej mówiąc oparł się na recenzentach „Kuźnicy" Tak, „Kowalski pokazał inaczej chłopskie środowisko, przezwyciężył „teorię rytmu natury" w rozwoju losów chłopskich, uhistorycznił je i upolitycznił". Ale gdzieś o tym czytał, Stefanie? W „Kuźnicy" czy we „Wsi"?

Publicystyka się rozwija i wyprzedza... **Ale to znaczy, że rozwijają się również nowi publicyści, że wyprzedzają młodzi.** Trzeba skończyć z kryciem ich pod korcem maku! Myślimy, że Żółkiewski, polityk kultury, pierwszy tego odkrycia dokona. Czas...

Jerzy Cios

JESZCZE RAZ OBRONA KLERKA?

Od czasu wydania „Zdrady Klerków" Juliana Bendy minęło już przeszło dwadzieścia lat. Zdążyliśmy do tego czasu zapomnieć argumenty o konieczności pozostawania twórcy w zupełnej izolacji od życia politycznego, o nieodzowności uznania kultury za „strefę wolną", w której wszelakie planowanie, wszelaka ingerencja zewnętrzna są nie tylko niepotrzebne, ale zgoła szkodliwe. A oto znów odżywają dawne wezwania autora „Francji bizantyjskiej", tym razem w refleksjach Jerzego Turowicza o kulturze i polityce, zamieszczonych jako artykuł wstępny w ostatnim numerze „Tygodnika Powszechnego". Nie mówi się tam wprawdzie o „wspaniałym odosobnieniu" zjawisk artystycznych, ale lansuje się za to wspaniale brzmiące przekonanie, że właściwym celem polityki powinno stać się dopomaganie kulturze. Wskazawszy szereg zależności między obu tymi dziedzinami życia społecznego pisze przecież Turowicz na koniec: „Ale to wszystko nie znaczy, by wolno było kulturę podporządkować polityce. Bo jeśli, to już raczej polityka winna kulturze służyć". Mam, przyznaję się do tego otwarcie, wielki sentyment dla szanownych i czcigodnych formułek, które ze względu na fakt ustawicznego ich powtarzania od długich lat, nazywa się potocznie sloganami. Tym niemniej jednak to oświadczenie budzi nieufność. Cóż to bowiem za tajemniczy przedział między kulturą a polityką? Cóż właściwie rozumie przez te pojęcia autor artykułu, skoro przeciwstawia je sobie tak ostro? Politykę wprawdzie zdefiniował, ale kultura? Czyż czytelnik ma być przymuszony do tak zawiłych czynności, jakimi są próby „wczuwania się" (intuicyjnego oczywiście) w sens uwag Jerzego Turowicza? Przenieśmy się trochę dalej. Dowiemy się tylko o właściwych i istotnych przyczynach „niekompetencji polityki na terenie kultury jako na terenie wartości", które pochodzą „stąd, że widzenie jednej i tej samej rzeczywistości przez polityka i człowieka kultury to są dwa widzenia różne. Polityka ma na widoku przede wszystkim cele konkretne, bliskie i praktyczne, dlatego polityk świadomie ogranicza swój horyzont, operując schematami: czarne — białe, dobre — złe, przyjaciel — wróg. Polityk upraszcza obraz rzeczywistości, to uproszczenie jest hipotezą roboczą, potrzebną mu do działania. Człowiek kultury, artysta, intelektualista ma obowiązek widzieć rzeczywistość w całej prawdzie, taką, jaką ona jest". Wnioski są proste. Z wywodów tych wynika całkiem zwyczajnie, że każdy polityk to symplak i bałwan już z racji swego zawodu. A artysta? Artysta to coś innego. Profesja wlicza go do magów, speców, jakiegoś sprzysiężenia wtajemniczonych, którzy dysponują przywilejem znajomości wszystkich powikłań, odcieni i komplikacji „humanistycznej rzeczywistości".

Ale zostawmy już te potknięcia, chociaż bardzo istotne, te **niebezpieczne chybotania** katolickiego publicysty. Przystąpmy do sedna sprawy, o którą mu chodzi. Liczne cytaty z artykułu komunizującego włoskiego pisarza Ellio Vittorini wyjaśniają niewyraźny dotąd tok rozważań. Celem ich jest przecież zasugerowanie czytelnikowi, że kultury nie można oceniać oczami polityka, to znaczy, nie można jej wartościować ze względu na polityczną, a przez to i społeczną funkcję. Chodzi o autonomię, chodzi o to, by pisarz nie opowiadał się swą twórczością po tej czy innej stronie. Legitymację partyjną może mieć, a jakże! To jego prywatna sprawa. Ale być pisarzem partyjnym? O, to już skandal, traci się wówczas „niezależność". Znów mit kultury „strefy wolnej". I to wtedy gdy się na wstępie napisało, że nie ma dziś spraw apolitycznych. (Poprawność rozumowania Jerzego Turowicza jest zaiste oszałamiająca!). Owszem, na to drugie zgodzimy się wszyscy. Ale skąd natenczas „kultura autonomiczna"? Przecież każdy objaw artystyczny, każde zjawisko kulturalne posiada określone znaczenie polityczne. „Niezależność" pisarza czy intelektualisty posiada je także, tak, jak posiada je klerkizm, jak posiadają je próby obrony wydarzeń artystycznych przed ingerencją polityków. Szczególnie wyraźne jest to wówczas, gdy politycy reprezentują ruch proletariatu i gdy fakty artystyczne jeszcze mu nie służą.

Michał Rękas

EJ, TA „INTELIGENCJA LUDOWA"

Inteligencja pochodzenia chłopskiego pracuje w miastach poza swym macierzystym środowiskiem społecznym i jeśli pragnie się związać z politycznym ruchem chłopskim, musi się zrzeszać we wtórne grupy społeczne, jakimi są np. **„koła grodzkie" Stronnictwa Ludowego.** Ponieważ koła te wzrosły ostatnio bardzo wydatnie pod względem ilościowym i zgromadziły liczne zastępy elementu ludzkiego z wyraźną przewagą inteligencji pracującej, przeto staje się żywym i aktualnym problem ich roli, zadań konkretnych i znaczenia w ramach społeczno-politycznego ruchu chłopskiego na obecnym zwrotnym etapie jego rozwoju. Nie rozporządzamy jeszcze dostatecznym materiałem obserwacyjnym, przy pomocy którego można byłoby naświetlić wyczerpująco całość problemu, toteż muszę się ograniczyć tylko do jednego wycinka terenowego, jakim jest województwo łódzkie. Być może, że obserwacje i wnioski natury ogólniejszej, zdobyte na terenie tego województwa, dadzą się odnieść również do innych terenów, zasadniczo jednak jest to sprawa dalszych planowych obserwacji i analitycznych badań.

Ogółem na terenie województwa łódzkiego działa obecnie 18 kół grodzkich w miastach powiatowych i wydzielonych, w których skupia się 1741 członków Stronnictwa Ludowego o wybitnej przewadze elementu inteligenckiego, bo sięgającego ponad 70 proc. ogólnej liczby. Wśród tych kół najliczniejsze jest Koło Grodzkie w samej Łodzi, skupiające w swych szeregach 630 członków. Struktura tego Koła jest następująca (dane dotyczą 550 członków, których pełne arkusze personalne posiada Zarząd Koła):

Członkowie pochodzą ze środowisk:
wiejskiego — 286 — 52 proc.,
małomiejskiego — 105 — 19 proc.,
wielkomiejskiego — 169 — 39 proc.

Według wykształcenia dzielą się na następujące zespoły:
z wykształceniem powszechnym — 157 — 29 proc.,
średnim — 267 — 48 proc.,
wyższym — 126 — 23 proc.

Wykonują zawody:
o charakterze inteligenckim — 374 — 70 proc.,
pozainteligenckim — 176 — 30 proc.

Przed wojną brało udział w pracy politycznej:
bezpartyjni — 510 — 93 proc.,
w ruchu ludowym — 33 — 6 proc.,
w partiach demokratycznych — 5 — 1 procent.

Dla naszego zagadnienia szczególnie interesującą jest grupa pochodzenia bezpośrednio wiejskiego, bo to pochodzenie posiada jeszcze swoje z wielu względów doniosłe zróżnicowanie. Od tego bowiem, z jakiej grupy społecznej na wsi pochodzi dany inteligent ludowy, zależy jego światopogląd i jego życiowa postawa. Inteligenci ludowi w miastach kształtują swój światopogląd na podświadomych fundamentach tych przeżyć społecznych, jakie utkwiły w nich z czasów dzieciństwa i z wczesnego okresu lat szkolnych. Toteż w zależności od tego, z jakiej kategorii wiejskiej społeczności pochodzi dany inteligent ludowy, a więc jak się we wczesnej młodości „czuł" w społeczności wiejskiej, takich przeżyć i takich treści światopoglądowych będzie mimowolnie poszukiwał w późniejszym swym życiu, kiedy się znajdzie w warunkach zgoła odmiennych. A wiadomo, że syn bogacza przeżywał w młodości zupełnie inaczej swoją „sytuację" społeczną na wsi, aniżeli syn biedniaka, rzemieślnika, czy wyrobnika wiejskiego.

Ważnym jest przeto zagadnienie, jaki jest skład społeczny inteligencji ludowej w miastach, pochodzenia wiejskiego. Sprawa nadaje się do empirycznego zbadania w drodze ankiet, czy wywiadów. Ja tu przytaczam tylko skromną próbkę takiego „badania", z czego naturalnie nie należy wysnuwać żadnych za daleko idących wniosków, dotyczących inteligencji ludowej w całości. „Próbka" jest tylko próbką, ale zdaje się wskazywać na ciekawe zagadnienie, dotychczas leżące zupełnie odłogiem, bo przesłonięte fałszywą koncepcją „wsi jednolitej" pod względem klasowym.

Tym próbnym badaniom poddałem grupę chłopskich inteligentów, posiadających studia wyższe i pracujących od szeregu lat w miastach. Grupa była dobrana zupełnie przypadkowo i składała się z 35 osób. **Wyniki otrzymałem następujące:**

1. dzieci rodziców posiadających poniżej 1 ha, przy czym rodzice ich zajmowali się dodatkowo stałą pracą (kowal wiejski i młynarz)	2
2. dzieci drobnych gospodarzy, od 1 do 3 ha	3
3. dzieci średnich gospodarzy, od 4 do 6 ha	7
4. dzieci gospodarzy bogatszych, od 7 do 10 ha	10
5. dzieci gospodarzy bogatych, ponad 10 ha	13

W ostatecznym zestawieniu mamy wyraźną przewagę elementu z chłopskich grup zamożnych, co nie może pozostać bez istotnego wpływu na kształtowanie się chłopskiej inteligencji pracującej w środowiskach miejskich oraz na urabianie się jej światopoglądu i postaw życiowo - społecznych.

Jeżeli teraz uwzględnimy wszystkie powyżej przytoczone zestawienia statystyczne, dotyczące Koła Grodzkiego SL w Łodzi, to w ostatecznym wyniku uzyskamy obraz grupy bardzo luźnej, będącej mozaiką odmiennych zainteresowań, postaw, przekonań i światopoglądów. Stąd też wynika pierwsze podstawowe zadanie dla kół grodzkich o podobnej strukturze: **zorganizowanie systematycznej akcji samokształceniowej w zakresie zagadnień ideologiczno - politycznych i społeczno - gospodarczych,** która by w odpowiednim stopniu zlikwidowała wielostronne różnice ilościowe i jakościowe w dziedzinie światopoglądowej pomiędzy poszczególnymi grupami członków.

Drugie główne zadanie kół grodzkich SL mieści się w innej skali doniosłości społeczno - politycznej. Chodzi tu mianowcie **o wypracowanie racjonalnych metod i sposobów docierania członków bezpośrednio na wieś** Dotychczas bowiem te koła grodzkie, zasklepione w większości w bezprogramowym dreptaniu na bruku miejskim, czyniły wrażenie kwiatka do chłopskiego kożucha, przy czym kożuch ten porzucono gdzieś tam o dziesiątki kilometrów i „kwiatka" tego nie było do **czego przypiąć. Jest rzeczą niewątpliwą, że wiele interesów ludności wiejskiej zbiega się również we wszystkich naszych miastach, i ich poprawne załatwienie powinna przyśpieszać inteligencja ludowa z kół grodzkich.** Przez to jednak nie traci na ważności zadanie pierwsze — na terenie **samej wsi,** do której inteligencja ludowa musi umieć dotrzeć i to dotrzeć skutecznie i pożytecznie, jeżeli pragnie w sposób właściwy uzasadnić swą rację bytu w szeregach chłopskiego ruchu politycznego. Musi tam dotrzeć dobrze przygotowana i ideologicznie zespolona, by przenieść te wszystkie wartości postępu i nowej kultury, które ułatwią wsi przełamać w sobie resztki nacisków zacofania i przyśpieszą jej marsz do socjalizacji.

Zapytujemy przy tej okazji grzecznie sekretarzy „Kół Grodzkich" SL i PSL-u po 1) **o stan prenumeraty „Wsi". Ilu członków prenumeruje „Wieś"?** Bo dla praktyki społeczno-politycznej inteligentów ludowych na wsi i w mieście **teoria** jest potrzebna. Cóż oni, biedacy, oderwani od wsi, wiedzą o niej teraz jako **„inteligenci"?**

po 2): **Jak działają kluby dyskusyjne w „Kołach Grodzkich" i czy „Wieś" stanowi podstawowy materiał dla dyskusji?** Tu chcę przypomnieć, że przedwojenne „Towarzystwo Przyjaciół Wsi", zrzeszające inteligencję pochodzenia chłopskiego i sympatyków, umiało wytworzyć nabożny nastrój dla swego organu **„Wsi i Państwa".** Było to oczywiście łatwo przy założeniach „wsi jednolitej", gazdowskiej, honornej, obrzędowej, regionalnej. Inteligencji, która zdobyła indywidualnie awans społeczny do ustroju kapitalistycznego takie pismo dobrze robiło na „złe sumienie". Uspokajało, rozgrzeszało a nawet imputowało teorię misji i reprezentacji wsi, że to niby myśmy pokazali, co wieś potrafi. Zwracam uwagę, że w naszym łódzkim przykładzie statystyka wykazuje, iż na ogólną sumę obecnych członków „Koła Grodzkiego" przed wojną 93 proc. było bezpartyjnych (jak podają), w ruchu ludowym — 6 proc., w innych demokratycznych — 1 proc.

Mgławicowość trzeba rozpraszać! **Trzeba we „Wsi"** szukać pomocy w wyjściu z tej przedwojennej apolityczności. **Panowie Inteligenci!**

F A K T Y i Z D A N I A

Bohaterstwo zdrajców

We Francji ukazała się pod koniec 1948 r. książka niejakiego U. Sarraz-Bournet pt. „Temougnage d'un silencieux". U. Sarraz-Bournet był w czasie wojny wyższym urzędnikiem rządu Vichy. Dziś pisze poematy na cześć władzy, której kiedyś służył. „Od czasu, gdy kraj został wyzwolony — pisze — został on zarzucony literaturą, która opisuje wydarzenia jednostronnie, jakoby w latach 1940—1944 we Francji nie było niczego, prócz podziemia i ruchu oporu. Przyszedł już czas by otworzyli usta ci, którzy milczeli". Trzeba rzeczywiście wywieść na światło dzienne bohaterstwo.. zdrajców.. Od chwili opanowania rządu francuskiego przez partie amerykańską akcje kolaboracjonistów znacznie wzrosły. Rozumie to bardzo dobrze Sarraz-Bournet. I pisze pean na „nowokreowanych bohaterów". Chwali rząd Vichy, jego przywódców — ma sobie za wielką zasługę, że służył im wiernie i uczciwie. Bo cóż — Petain i Laval odeszli — ale kontynuatorzy ich polityki przecież żyją — i rząd „trzeciej siły" toruje im drogę, ba, często z nimi współpracuje. Nutą zasadniczą książki jest bowiem teza, że de Gaulle jest w prostej linii następcą Petaine'a.

„Na konferencji, którą z nim (Petainem) odbyłem — pisze Sarraz-Bournet — 7 albo 8 sierpnia 1944 r., wyraził wobec mnie tego rodzaju nadzieję: uważał, że gen de Gaulle potrafi stanąć ponad partiami i zrealizować jedność, niezbędną dla odrodzenia kraju". Od siebie zaś dodaje w innym miejscu: Ci, którzy poprzednio wznosili okrzyki „niech żyje Petain", teraz krzyczą „niech żyje de Gaulle".

Te wypowiedzi petainowskiego urzędnika są niezmiernie wymowne. Najcharakterystyczniejsze jednak, że rząd Queuille'a, który zabija robotników z tego tylko powodu, że kolportują komunistyczne ulotki — w tym wypadku nie robi żadnych trudności. Dlaczego? Daleka Ameryka jest jednak bardzo bliska.

K. S.

Powiadam wam — cuda!

Do
Redakcji tyg. „Wieś"

Otrzymałem przed kilku dniami pocztą, święty obrazek, przekaz pocztowy i list odbity w drukarni księży salwatorów w Trzebini. Oto tekst listu:

„Kochani! W Płokach, gdzie znajduje się cudmaj słynący obraz Matki Boskiej, zaszła potrzeba gruntownego remontu kościoła, że to prawie równa się wybudowaniu nowego — a mianowicie: trzeba dać całkiem nowy dach, nowe sklepienie, wieżę i jeszcze niektóre ściany poprawić.

Ponieważ jest to parafia ściśle robotnicza i biedna tak, że przy najlepszych chęciach nie byłaby w stanie swoimi siłami tego dzieła dokonać, przeto jesteśmy zmuszeni zwrócić się z prośbą o pomoc i do innych.

Udając się do innych ośmielamy się i do Wielmożnego Państwa zwrócić z prośbą o pewną ofiarę na ten cel. Każda zaś ofiara, choćby najmniejsza, będzie dla nas wielką pomocą, za którą obiecujemy się wspólnie modlić przed Jej obrazem o błogosławieństwo dla ofiarodawcy.

Podpisali: ks. Dionizy Gąsiorek oraz z komitetu parafialnego Ander Gąsior, Piotr Lasoń i inni.

Na odwrotnej stronie obrazka można czytać: „W każdą niedzielę o godz. 8 rano odprawia się przed cudownym obrazem Matki Boskiej Msza św. w tej intencji, by ta Matka Boża miała w szczególnej opiece **tych**, którzy dopomogą ku Jej czci wybudować piękny kościół".

Powiem Wam teraz, co o tym sądzę. Jestem starym działaczem robotniczym. Przed wojną sympatyzowałem jakiś czas z łódzkim ruchem katolickim. Oddawaliśmy nieraz ciężko zarobione pieniądze na budowę lub reperację kościołów wierząc w daleko lepiej niż ta — redagowane odezwy do wiernych, które często podpisywał ks. biskup Tymieniecki. Wydawało się nam, ludziom z Bałut, że w naszej przedwojennej nędzy nie pomogą już żadne ludzkie siły, że pozostała nam jeszcze wiara w Boską opiekę nad głodującymi robotnikami. Ale wiara ta zawiodła nas. Nic się nie poprawiło, chociaż stanęły nowe kościoły częściowo z naszych składek. Bóg pozostał przy właścicielach fabryk, w których pracowaliśmy, przy pachnących księżach, dyrektorach, prezesach, przy tym świecie, który zasiadał w czasie mszy tuż pod ołtarzem, odgrodzony od nas drewnianą lub żelazną balustradą. To po to stawiano kościoły, aby wzywać nas do miłości wobec każdego bliźniego, wobec siedzącego pod samym ołtarzem kapitalisty, który nas wyzyskiwał. Za nasze z trudem ciułane grosze kuto oręż do walki przeciw interesom ludu pracującego.

Po wojnie zostałem przodownikiem pracy w przędzalni. Wspólnymi, ludzkimi siłami, budujemy sobie lepszą przyszłość. Rozumiem, że nasze państwo i jego klasa robotnicza nie zwalcza religii. Zwalcza natomiast politykę kleru, który jak za dawnych lat przesłania obraz walki klasowej, którą musimy stoczyć i wygrać. Dlatego jestem tym razem ostrożny.

Gdyby wezwanie księdza Gąsiorka nie miało znaczenia politycznego, to i tak musi budzić w nas zastrzeżenia. Bo jak to tak może być, żeby ten kto daje, miał szczególne łaski, a ten kto nie daje, to takiej łaski szczególnej nie otrzymał. Skąd taka zasada, że pieniądze otwierają drogę do nieba? Wygląda to jak zwykły kapitalistyczny handel. Większy obrót — większy zysk. A wiadomo przecież, że kapitalizm nigdy i nigdzie bezinteresownej służbie się nie poświęcił. Dlatego przypuszczam, że dziś już nie będzie służył tylko Gąsiorom i Gąsiorkom, ale i tym wszystkim, którzy przed wojną zajmowali miejsce przy głównym ołtarzu.

I dlatego mówię — bez takich cudów.

J. Sz.

W sprawie nauczania religii w szkole

Otrzymaliśmy list z Państwowego Liceum Pedagogicznego w Wieluniu. Piszą w nim uczniowie tej szkoły, że przed kilkoma tygodniami wysłali do Ministerstwa Oświaty rezolucję, podpisaną również przez dyrektora, w której proszą o zniesienie nauki religii w ich szkole. Zwracają w niej uwagę, że nie mogą pogodzić nauk księdza z wykładami nauczycieli przyrody i historii. Pierwszy opowiada im o Mojżeszu, o cudownym stworzeniu świata, o mitycznym pochodzeniu człowieka itd. Drudzy mówią o Darwinie i teorii ewolucji, o rozwoju społecznym poprzez walkę klasową. Uczniowie dowodzą więc, że w głowach wielu z nich robi się siano, szczególniej u słabiej politycznie wyrobionych wytwarza się kompletny zamęt.

Sprawa rezolucji Państwowego Liceum Pedagogicznego w Wieluniu nie jest zapewne sprawą oderwaną i sporadyczną. Ministerstwo Oświaty powinno ją rozpatrzyć, rozwiązać dylemat między religią a nauką na korzyść tej ostatniej.

K. S

Kolędnik z diabelskim ogonem

Działo się to wprawdzie jeszcze ubiegłego roku, lecz po przeczytaniu artykułu red. A. Króla „Koniec z takim uczeniem", zamieszczonym w noworocznym numerze „Wsi", doszłam do wniosku, że opisane przeze mnie wydarzenie nie straciło na aktualności i dlatego pragnę je przytoczyć.

Ponieważ moje spojrzenie na świat jest materialistyczne, byłam szczególną solą w oku wychowawczyni, która chciała koniecznie wszczepić we mnie swoją metafizyczną mentalność. Gdy wszystkim jej argumentom przeciwstawiałam rzeczowe poglądy, nauczycielka znalazła wreszcie — jak się jej zdawało — najmocniejszy argument, powstały z szerzącej się podówczas plotki. Właśnie w okresie, kiedy plotka pęczniała, gdy nauczycielka wpadła do klasy, odezwała się do mnie z przejęciem godnym średniowiecznego fanatyzmu: „Mam dla ciebie coś, co cię wreszcie przekona i nawróci!" I zaczęła opowiadać, co następuje:

W okolicach Grybowa wałęsający się kolędnicy natknęli się na księdza śpieszącego z wiatykiem do chorego. Przebrany za diabła kolędnik miał podobno uderzyć księdza kijem, w odpowiedzi na co ksiądz krzyknął: „Czy to człowiek, czy diabeł!?". W tym momencie kolędnikowi przyrosły rogi, końskie kopyta i ogon. Wymienione diabelskie rekwizyty przyrosły mu na amen. Medycyna stanęła wobec tego wypadku bezradna. Nawet najzagorzalsi medyczni niedowiarkowie musieli uznać, że stał się cud spowodowany karzącą ręką Bożą!

Więc i ja powtórzę za red. A. Królem: Koniec z takim uczeniem! Bo takie umoralnianie umoralniając demoralizuje i sieje ciemnotę. Bo jakże inaczej można nazwać cofanie nauki do średniowiecznych diabelskich czasów, jeśli nie demoralizacją? Nauczycielka gasi w ten sposób naukowe zainteresowanie młodzieży, siłę autorytetu równa ze swoją własną mentalnością. W klasie sieje ferment, bo uleglejsze, podatne na zabobon uczennice odnoszą się z wrogą nieufnością do rozumniejszych koleżanek.

A więc koniec z takim uczeniem! Czyni ono krzywdę nie tylko dzisiejszym abiturientkom, tłumiąc ich wiedzę historyczną i znajomość korzeni współczesności, w którą wchodzą, ale czyniło krzywdę i tej wczorajszej młodzieży, idącej w wieku 14—15 lat na poniewierkę za zarobkiem w świat, zamiast zasiadać na szkolnych ławach. I tamtą młodzież miała także ochraniać „Wszechmocna Opatrzność Boża", mieli jej nie dać zginąć dobrzy ludzie, niejednokrotnie zaczerpnięci z mylnie zrozumianej pozytywistycznej lektury. Tymczasem na progu nowego życia opuszczała „Wszechmocna Opatrzność Boża", skrzywdzili dobrzy ludzie tak, że się już nawet podźwignąć nie była w stanie.

Izabela Ciapalanka.

Radziecki film i nasi „bohaterowie"

Było to na radzieckim filmie „Lenin w październiku". Obok mnie zajęło miejsce dwóch młodzieńców. Po zielonych, aksamitnych czapeczkach poznałam, że są to słuchacze WSH. W rozmowie między sobą rzucali z naciskiem niepozbawionym kpiącego akcentu: my, biedna młodzież akademicka, my — biedni studenci. Domyśliłam się więc, że należą do tej kategorii „biednych studentów", którzy szarżując i podkreślając na każdym kroku swoją przynależność do biednej młodzieży akademickiej, czynią ze społecznej bolączki utarty slogan, przez co krzywdzą prawdziwie biedną młodzież akademicką. Taki sloganowiec kiedy rzuca przed siebie: „ja biedny akademik", czeka na zaprzeczenie: „pan wcale nie wygląda na biednego akademika". Tylko z takiej odpowiedzi jest zadowolony, lecz z kolei zapyta wyzywająco: „Co, może nie wyglądam na demokratę?" Idąc po jego myśli, trzeba zaprzeczyć z oburzeniem: „skądże?!..." i dodać: „pan wygląda na reakcjonistę!" Tylko po takiej odpowiedzi jest rozpromieniony, że się na nim poznano i dumnie podnosi głowę.

Podczas wyświetlania seansu filmowego, sąsiadujący ze mną młodzieńcy ziewali demonstracyjnie, dając tym otoczeniu do zrozumienia, że nie przywiodła ich tu sympatia do radzieckiego filmu, ale wyższe względy obserwatorów-krytyków. Dopiero w punkcie kulminacyjnym, kiedy oddziały Gwardii Czerwonej, rewolucyjni marynarze i żołnierze zdobywają szturmem Pałac Zimowy i aresztują Rząd Tymczasowy — przestali ziewać, ucichli. Widocznie pod wrażeniem nieustraszonej postawy Czerwonogwardzistów odezwał się po chwili jeden do drugiego z akcentem bohaterstwa w głosie: „Wiesz, bracie, że ja zaczynam się też zniżać do proletariatu". „Jakim sposobem?" — zapytał drugi. „A takim — odpowiedział — że wczoraj rozmawiałem z Helcią, z tą, wiesz... jak równy z równą". Nie dowiedziałam się, kim jest ta Helcia. Może pracowniczką w zakładzie fryzjerskim, może przodowniczką pracy w fabryce? W każdym razie byłoby dla niej z wielką korzyścią, gdyby ze „zniżającym się" do niej bohaterem nie rozmawiała. Ale wtedy bohater nie mógłby się zniżać do proletariatu i przez to straciłby jedyną szansę zostania bohaterem.

M. Kościńska

Dożywamy tej pociechy

Przypomnijmy sobie najpierw słowa Adama Mickiewicza: „Obym ja kiedyś dożył tej pociechy, by książki moje zbłądziły pod strzechy, aby też wzięły wieśniaczki do ręki te księgi proste jako ich piosenki".

W styczniu br., a więc w stopięćdziesiątą rocznicę urodzin poety otwarto na terenie całej Polski 1.600 bibliotek gminnych. Nie znaczy to, by ich było po naszych gminach tylko tyle. Np. w kieleckim województwie już w końcu 1947 roku każda gmina posiadała własną wypożyczalnie książek.

Plan 6-letni stawia zagadnienie upowszechnienia kultury na wsi, za rogatkami naszych miast, na poczesnym miejscu. Przekonano naszych wydawców, że dobra książka może kosztować tanio, jeżeli będzie masowo rozprowadzona. I oto w pierwszych miesiącach tego roku 50.000 chłopów otrzyma poleconą przesyłką dobrą książkę, której cena wyniesie 100 złotych.

Zaiste niezwykłych czasów dożywamy! Kiedyś czytało się na wsi „Pielgrzyma z Dobromilu" na przełomie XIX w. na XX wiek — kalendarze wydawane przez Macierz Szkolną, lub redakcje pism „dla kmiotków". Starsi działacze ruchu ludowego i wielu chłopów pamiętają przedwojenne czasy, kiedy podstawową lekturę stanowiły żywoty świętych, „Rycerz Niepokalanej", czy „Niedziela", kiedy pożyczało się książki z nielicznych bibliotek parafialnych.

Dziś drogi prowadzące kulturę na wieś zostały przetarte. Obecnie przypada wprawdzie 1 książka na 6 obywateli, ale za 6 lat będziemy mieli 1 książkę na dwóch obywateli. Mamy teraz 5000 zradiofonizowanych wsi, ale w ciągu 6 lat planu będzie zradiofonizowanych 15.000 wsi, a nowych 18.000 zelektryfikowanych. W bieżącym roku powstanie dwieście dużych, wzorcowych świetlic wiejskich, a 2.400 spośród istniejących otrzyma kompletne wyposażenie — czasopisma, książki, radia, a nawet meble.

Nie przyniesie więc to mu najmniejszej ujmy, jeżeli dziś skorygujemy słowa wieszcza: **nie zabłądzą**, ale **zgodnie z planem** odpowiednio do potrzeb dostaną się książki pod strzechę. Dzieła Mickiewicza również.

p. p

„Latarnik" pomógł

Posłuchajcie!

Rzejowice. Wieś ta leży w powiecie radomszczańskim w oddaleniu od tego miasta o 20 km. Jest to wieś dość duża, liczy bowiem przeszło 160 gospodarstw. Ma siedmiooddziałową szkołę, mieszczącą się w jednopiętrowym budynku o siedmiu salach, spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej oraz pocztę...

Jeszcze przed wojną znajdowała się w szkole dość liczna, bo ponad 1500 tomów licząca biblioteka. Zainteresowanie się biblioteką przez miejscowe społeczeństwo było jednak bardzo słabe. Okoliczni chłopi nie lubili czytać. Czasem tylko ktoś z młodzieży wypożyczył książkę. W czasie wojny okupanci zniszczyli olbrzymią większość książek. Zostało tylko 212 tomów, lecz i tych nie miał kto czytać. Znów tylko jakiś chłopiec lub dziewczyna zgłaszali się co pewien czas po książkę, by przepaść z nią na kilka tygodni, a nieraz i kilka miesięcy. Niejeden raz bibliotekarz musiał sam chodzić po książkę — odbierać ją i przypominać, że są jeszcze inne do wypożyczenia. Nie było także lepiej i w latach 1947 i 48, w których to liczba czytelników nie przekraczała piętnastu osób. Za bardziej pomyślny należy uważać rok 1949, w którym biblioteka tylko w przeciągu dwóch dni, a to 17 i 18 stycznia zyskała 29 nowych czytelników. Myślę, że ten nagły i radosny poryw do książki należy przypisać akademii, która odbyła się w dniu 16 stycznia w Rzejowicach. Akademia ta odbyła się ku czci otwarcia w powiecie radomszczańskim bibliotek gminnych i punktów bibliotecznych, z których jeden otwarto także w Rzejowicach. Program akademii składał się z dwóch krótkich przemówień związannych ściśle z uroczystością, kilku wierszy, inscenizacji — wykonanych przez dzieci szkolne — oraz z inscenizacji pt. „Sąd nad latarnikiem" wykonany przez zespół teatralny miejscowej ochotniczej straży pożarnej. Widocznie tragedia latarnika poruszyła niektórych widzów, którzy wzięli sobie także do świadomości słowa obrońcy: „dajcie ludziom książkę, dajcie kulturę — a będą oni bogatsi", oraz „książka to skarb i najlepszy przyjaciel człowieka" — i sami chcą korzystać z tego skarbu. Oby tylko takich było jak najwięcej.

G. Tomala

Kolego Redaktorze!

Zapoznałem Was pierwszy raz w Warszawie w marcu 1948 roku, na Zjeździe Korespondentów „Chłopskiej Drogi" i prosiłem, żebyście mi przysłali swe pismo „Wieś", bo wcale nie znałem tego pisma. I co się okazało? Muszę Wam się przyznać szczerze, tak czysto po chłopsku, że niewiele przez dłuższy czas mogłem zrozumieć z tego pisma i dziwiłem się nieraz, że to pismo „Wieś" może czytać chłop ze wsi, który ma tylko 7 oddziałów jak ja. I cóż się okazało dalej? Jak przyszedł tygodnik, miałem już nie czytać, ale ciekawość zwyciężyła. I czytałem, zagłębiałem się w czytaniu. Dziś choć już jestem w starszym wieku (38 lat) jeszcze się uczę jako samouk.

Kłopotów mam bardzo dużo, a to tylko z jednej przyczyny, że jestem biednym, drobnorolnym chłopem. Dziękuję Wam, Kolego Redaktorze, za przysłanie mi Waszego pisma od kwietnia 48 roku do stycznia 49 r. i prosiłbym, ażebyście mi darowali prenumeratę za ten przeszły czas, a ja, chociaż nie mam pieniędzy, będę opłacał od 49 roku.

Bo ja już się mocno przyzwyczaiłem tak jak do swej wsi rodzinnej do Waszego pisma „Wieś". Jest mi ono bardzo pożyteczne w pracy społecznej w terenie. Może jeszcze kiedyś poślę Wam swe **pamiętniki** do przejrzenia, ale to są wszystko takie wiejskie, o życiu i zmartwieniach chłopa.

25. 1. 49 r

Tadeusz Krakowiak

Wieś Lisna, pow. Skierniewice.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2
D—034610